Nr. 34. Warszawa, dnia 25 (13) Sierpnia 1894 r. Rok XIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2. k. 50**, rocznie rs. **10.**

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

W AMERYCE.

Cztery lata upłynęły od chwili wypowiedzenia wojny ekonomicznej Europie przez Stany Zjednoczone Ameryki północnej. Bill Mac-Kinley'a sypnął ze swych kartaczownic mnóstwo pocisków, sięgających do najdalszych stron świata cywilizowanego, a na czele tej srogiej wyprawy stanął jako dyktator prezydent Unii, mogący dowolnie, według uznania, zabraniać wstępu produktom obcym, szkodliwym dla wytwórców tamtejszych. Tym sposobem dowóz znacznej liczby przedmiotów ustał zupełnie. System zakazowy osłabił puls wielu przedsiębiorstw przemysłowo-handlowych w Europie. Pod hasłem „Ameryka dla Ameryki“ miało się rodzić i potęgować nowe życie wytwórcze na tym lądzie rozległym, ukrywającym w swem łonie bogactwa niezmierzone i nieprzebrane.

Ale ów środek, sprzyjający rozrostowi olbrzymich przedsiębiorców tamtejszych, nie był w zgodzie z interesami spożywców i pomimo, że starano się ich uspokoić dowodzeniem, iż w przyszłości wszystko się wyrówna, nie chcieli oni czekać lat dziesiątki na obiecankę i tymczasem własnym kosztem tuczyć przedsiębiorców. Niezadowolenie więc i protesty przez cztery lata rosły, coraz silniej domagano się zmiany, któraby zniżyła niepomiernie podniesione ceny najniezbędniejszych produktów, sprowadzanych z obcych stron. W końcu demokraci, stanowiący główny w tej mierze żywioł opozycyjny, odnieśli zwycięztwo przy wyborach prezydenta i postawili u steru na czele swoich interesów Clevelanda, sprzyjającego ich dążnościom. Wzniesiony siłą protestu, odrazu rozpoczął działalność w duchu wyborców; więc przedewszystkiem postanowił obalić bill Mac-Kinley'a, czyli przeprowadzić reformę taryfy w zakresie zniżki opłat celnych. Wilson w porozumieniu z prezydentem opracował nowy projekt, zmniejszający owe opłaty w stosunku do billu, przeciętnie o 30%. Przeciwko temu wszakże wystąpiło stronnictwo republikańskie, które dopomogło do wzniesienia muru ekonomicznego, oddzielającego Unię od reszty świata. Pomimo wszakże przeszkód z ich strony, wnioski Wilsona przeszły przez Izbę przedstawicieli, ale uwięzły w senacie i wyszły następnie stamtąd w postaci wielce zmienionej. Wprawdzie postanowiono zniżkę, ale znacznie mniejszą, niż żądał Wilson, nadto zachowano system zakazowy względem rozmaitych produktów.

Jakimże to stało się sposobem? Wszakże demokraci tak usilnie walczący o cła zniżone, w senacie uzyskali również większość swych przedstawicieli? — Oto według dość otwartych napomknień dzienników amerykańskich, do owych senatorów przemówili fabrykanci za pomocą bardzo przekonywających środków, na których sami stoją. Brzęk i szelest ich dowodzeń trafił do... kieszeni przedstswicieli przeciwników i wślad za tem wypłynęły nowe przepisy, które jeżeli nie utrzymają całkowicie billu Mac-Kinleya, to jedynie dlatego, że ich twórcy muszą się liczyć z przeciwnikami.

Najcięższym młotem, kruszącym wnioski Wilsona, był *trust* cukrowników, który wyjednał uchwałę senatu w postaci 40% cła od cukru, dowożonego z obcych krajów. Zobaczmy, jakimi środkami rozporządza i jaki wpływ w dziedzinie ekonomicznej wywiera ten kolos, który zdołał sobie wywalczyć tak wielkie udogodnienie, ze stratą spożywców Unii i wytwórców Europy. *Sugar-Trust* pod względem swej wielkości i potęgi zajmuje drugie miejsce w Stanach Zjednoczonych (pierwsze—syndykat naftowy). Powstał on 16 sierpnia 1887 r. na zasadzie umowy między pojedynczemi rafineryami akcyjnemi i kilku prywatnemi. Wkrótce potem akcye towarzystw zostały zdeponowane w syndykacie, składającym się z 11-tu osób. Administracya osobnych rafineryj pozostała pozornie w ręku dawnych zarządów; w rzeczywistości jednak ster dzierżyło owych jedenastu. Ogólną wartość rafineryi, które przyjęły udział w związku, początkowo obliczano na 15,000,000 dolarów, z czasem atoli urosła ona do 35,000,000 nominalny zaś kapitał w styczniu r. 1892 składał się z 25,000,000 dol. 7% obligacyi i 25,000,000 dol. udziałów (*Scharcs*-akcyi), na zakup zaś nowych zakładów r. 1892 postanowiono wypuścić 25,000,000 dol. papierów (obligacyi i udziałów). Nadto emitowano na kapitał obrotowy 10,000,000 dol. obligacyi 6%, co razem stanowi 85,000,000 dol. kapitału nominalnego przy 35,000,000 istotnej wartości. Pół centa cła od rafinady zagranicznej zabezpiecza rafinerye amerykańskie od współzawodnictwa obcych krajów. Do tego dodana $^1/_8$ centa kosztów transportu, uczyni istotną różnicę ceny na korzyść wytwórcy amerykańskiego—$^5/_8$ centa na każdym funcie cukru *). Ostatnimi współzawodnikami trustu były rafinerye filadelfijskie i kalifornijskie Claus Spreckelsa. W czasie układów o ustanowienie cła na cukier, minister Spreckels usilnie domagał się utrzymania opłaty na $\frac{1}{2}$ ct. od funta, twierdząc, że dla oparcia się współzawodnictwu z *Sugar-Trustem*, stawka tak wysoka jest konieczna. Po jej atoli zatwierdzeniu ten sam minister sprzedał swoje zakłady filadelfijskie syndykatowi, który natychmiast cenę towaru podniósł.

W początkach r. 1892 związek powyższy nie miał już żadnych konkurentów w Stanach Zjednoczonych. Pierścień wspólnego

*) Stanisław Piotrowski: „Syndykaty przemysłowe.“ Warszawa. 1893.

interesu objął 18 rafineryi z przerobem dziennym 44,800 beczek. Według obliczeń organu *New-Yord Daily Commercial bulletin*, ogół spożywców Unii płaci owemu związkowi rocznie 15,356,000 dolarów podatku. Znaczny odłam prasy amerykańskiej, usposobionej wrogo względem tego potwora przemysłu, zaznacza, iż robotnicy w jego rafineryach pobierają płacę o 15% mniejszą aniżeli w innych fabrykach i składają się przeważnie z węgrów i polaków. Pod naciskiem nowych praw i wyroków sądowych, unieważniających ustawy akcyjne towarzystw należących do trustu, związek ten sprzedał fikcyjnie cały swój majątek syndykom, którzy utworzyli jedno towarzystwo akcyjne, jego zaś członkami są dawni posiadacze udziałów trustu. Pozornie zatem pod inną ustawą olbrzymie stowarzyszenie działa nadal, jak przedtem. W ostatnich czasach akcye jego nieco spadły, nie o tyle wszakże, iżby to mogło zaważyć bardzo na szali interesu wielomilionowego. W gorączce zysków zjednoczeni przedsiębiorcy starają się atoli wywalczyć sobie najszersze prawa, zapanować wyłącznie na wszystkich rynkach Unii i w tym właśnie celu wypuścili złote strzały do senatu. Ich zwycięztwo oburzyło ogół, narażony na wyzysk. Według zapewnień prasy tamtejszej, zaopatrzyli się oni w olbrzymie zapasy mączki cukrowej, które przy wprowadzeniu cła, uchwalonego przez senat, ma im przynieść czystego zysku około czterdziestu milionów dolarów.

Tak więc ważna uchwała kongresu amerykańskiego ma wszelkie szanse wejścia w życie, czego naturalnie Europa nie przyjmie obojętnie, szczególnie zaś Niemcy, które przecież przyznały Stanom Zjednoczonym zniżone cła od zboża jedynie z warunkiem takiegoż ustępstwa dla wywozu własnego cukru na rynki amerykańskie, a więc mogą zagrozić odwetem. Oczywiście klęska ta dla wytwórców starego lądu będzie nieobliczona, gdyż dotychczas sporo towaru, obecnie niemal zakazanego, szło za ocean, gdzie przewagę na rynkach wywalczyli producenci niemieccy. Zapewne i naszym serca się ścisnęły, bo jakkolwiek bezpośrednio z Ameryką nie mają oni stosunków, korzystają jednakże o tyle z wywozu europejskiego za Atlantyk, że są dla nich przystępniejsze rynki bliższe, niebardzo atakowane przez współzawodników zagranicznych. Obecnie, gdy stanie na przeszkodzie nowa taryfa celna Unii, a w przyszłości większy rozwój cukrownictwa przy systemie protekcyjnym, Europa będzie musiała prawie całą swoją produkcyę sama spożywać, więc i wytwórcom tutejszym odbierze zagrzane miejsca zbytu, a przynajmniej wpłynie na znaczne zmniejszenie tam dowozu z Rosyi.

Czy my, jako spożywcy, mamy płakać z tego powodu? Przeciwnie, raczej cieszyć się powinniśmy, że może będziemy mieli nieco tańszy produkt, tak dla nas niezbędny. Cukrownicy zaś, którzy wykazali tyle energii w dążeniu do monopolu, chyba nie usiądą bezczynnie z założonemi rękami, lecz postarają się o rozszerzenie zbytu w obrębie państwa. Zdaje się, że już kiedyś wspominaliśmy o tych setkach tysięcy (jeżeli nie milionach) ludzi, którzy gryząc jeden kawałek cukru, mogą z nim wypić sześć szklanek herbaty, albo też spożywają tę ostatnią zupełnie bez słodyczy lub wreszcie z domieszką miodu, gdzie jest tani. Niech więc tutejsi cukrownicy postarają się zjednać sobie te liczne tysiące taniością, a nie będą opłakiwać rynków, odebranych za granicą. Zresztą zasmuceni (w tej liczbie pewne organy naszej prasy) niechaj się pocieszą nadzieją, że na posiedzeniach zimowych w Waszyngtonie Izba reprezentantów wypowie nową walkę ustawie obecnie przeprowadzonej i znajdzie poparcie państwa niemieckiego. Ale wtedy będzie to już utarczka z taryfą w życiu, gdyż od 1 października zacznie ona działać. Pewną pociechą dla Europy może być zniżka, zastosowana do innych przedmiotów, wywożonych za ocean.

Dr.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Ciepły podmuch pokoju ogólno-europejskiego coraz silniej wieje w sferach politycznych i porusza prasę zagraniczną. W ubiegłym tygodniu związała już ona przyjaźnią kilka mocarstw; a ponieważ piękne plany, wzorzyście wyszywane złotemi nitkami pojednania, tu i owdzie są robotą organów urzędowych, ztąd można wnosić, że usposobienie ku harmonii ogólnej płynie z wysoka; oddziaływanie zaś prasy, międzynarodowa wymiana tą drogą myśli i wskazówek, nie przejdzie bez pewnego wpływu na nastrój wzajemny. Najpierw tedy występują na widownię: Francya i Niemcy. Wybitniejsze dzienniki tych obu państw kładą nacisk na to, iż trójprzymierze straciło już dziś swój charakter zaczepny względem Francyi; *Nordd. Allg. Ztg.* przychodzi do wniosku, że przez tyle lat wrogo usposobiona sąsiadka, w ostatnich czasach uczyniła parę kroków pokojowych. Na ten temat leją się obfite potoki uprzejmych słów ze szmerem łagodnym; ale zadźwięczałyby one głośno i ostro, gdyby w postaci układów realnych spadły na kamień, pod którym przed laty zgodę pogrzebano. Takim kamieniem, zbyt ciężkim do poruszenia, jest traktat frankfurcki; Niemcy pragnęłyby nietykalności jego, Francya zaś uważałaby za warunek zasadniczy poczynienie zmian w zakresie spraw Alzacyi i Lotaryngii. Oba państwa pod względem ustępstw, zdaje się, byłyby na tym punkcie tak twarde, jak ów głaz pod którym zgoda spoczęła.

Nieco na odmiennej tkaninie rojeń dziennikarskich malowane są obrazy trwałej zgody innych mocarstw. Włochy i Austrya przyjaźnie lgną do Francyi z całem zaufaniem dla niej i z tego powodu nie wysilają zbytnio swej energii w zakresie uzbrojenia, a nawet Włochy myślą o zmniejszeniu armii. W ślad za tem powinna wzrosnąć ogólna wiara w dążność pokojową mocarstw europejskich. Taki nastrój panuje w sezonie ciszy parlamentarnej.

W tym słodkim uśmiechu pokoju Anglia również swoje surowe oblicze wygładza, gdy jest w gościnie lub sama u siebie obcych podejmuje. Inaczej wygląda w domu; tam nie krępuje się konwenansami politycznymi; może huknąć i uderzyć. Przedmiotem gromów domowych był w tych dniach bill o dzierżawcach irlandzkich, który został odrzucony znaczną większością głosów. Dillon i garść innych irlandczyków wystąpiło z pogróżkami, dowodząc, że taki krok może zachwiać podstawy izby lordów. Na to Salisbury odrzekł, że chociaż izba ma współczucie dla wydalonych dzierżawców, ale uważa za obowiązek również pilnować praw właścicieli ziemskich, których pogwałcenie mogłoby wywołać poważne niebezpieczeństwo. Prezes gabinetu, lord Rosebery, silnie zaznaczył, iż izba lordów ma prawo tylko przeglądać ustawy, uchwalone przez izbę gmin, ale nie odrzucać. Bill o dzierżawcach jest warunkiem niezbędnym dla utrzymania pokoju w Irlandyi. Stan rzeczy, jaki wynikł obecnie, może zaognić i powikłać sprawę agrarną, a wtedy Anglia będzie miała kłopot, niezbyt łatwy do usunięcia. Następstwem uchwały powyżej będzie wielki miting w Londynie, zapowiedziany na przyszłą niedzielę dla obmyślenia postanowień i środków, któreby obaliły izbę lordów.

W Wiedniu rada ministeryalna rozprawiała nad zniesieniem stanu wyjątkowego w Pradze czeskiej i jej okolicach, trwającego już od września. Stanowcze atoli zmiany w tej mierze nie są spodziewane.

We Francyi wykryto spiski na życie prezesa ministrów, Dupuy'a, który jest obłożnie chory na nerki. Zbrodni miało dokonać trzech anarchistów z Barcelony za pomocą dynamitu. Policya hiszpańska zawczasu jednak ostrzegła rząd francuski przed niebezpieczeństwem. Jednocześnie w Paryżu wykryto drugi spisek, którego uczestnicy znani są policyi francuskiej.

Z Belgradu dochodzą wieści, iż ministrowie liberalni, Andonowicz i Jovanowicz, pod naciskiem swojego stronnictwa postanowili opuścić gabinet Nikołajewicza.

Po za granicami Europy zaszły ważne fakty. Francya zawarła umowę z rządem Konga o rozgraniczenie. Układy owe dzielą się na dwie części: pierwsza obejmuje sprawę przeprowadzenia ostatecznych granic pomiędzy niezawisłem państwem Kongo a posiadłością francuską. Tym sposobem zamknięto nareszcie rokowania, które trwały lat kilka. Francya zastrzega sobie prawo dozoru na rzece M'bomu i wzdłuż niej — drogę. Druga część dotyczy szczegółów umowy, zawartej 12 maja r. b. pomiędzy rządem Konga i Anglią, która wydzierżawiła pierwszemu obszary, przylegające do Nilu. Według świeżo podpisanych warunków, Kongo zrzeka się tych posiadłości i wszelkich działań politycznych w ich obrębie. Oczywiście na taki układ Anglia nie może patrzeć obojętnie i prawdopodobnie upomni się o własne interesy, których nigdzie nie zaniedbuje.

Na dalekim wschodzie wojna w całej pełni, a zwycięztwa ciągle są po stronie Japonii. Sprawa ekonomiczna tego przelewu krwi dotarła już do Europy, a z mordu i łupiestwa korzystają szczęśliwi posiadacze kapitałów. Chiny pożyczyły od Banku niemiecko-azyatyckiego 25 milionów franków na 5% a półtora miliona funtów sterlingów w Anglii. Mają to być podobno tylko zaliczenia; główna bowiem suma pożyczki wyniesie 250 milionów franków. Jednocześnie Japonia pożyczyła od kapitalistów w obrębie własnego państwa 80 milionów dolarów. Anglia w tym interesie tak się zachowuje, jak gdyby politycznie popierała chińczyków; oprócz zasiłku pieniężnego, udzielonego przeciwnikom Japonii, wymaga od tej ostatniej, ażeby uprzedzała na dwie doby przedstawicieli rządu angielskiego o zamierzonem atakowaniu portu Wei-Hai-Wei, niby dla zabezpieczenia mieszkających tam europejczyków. Japonia, rzecz prosta, nie może przystać na to żądanie bardzo podejrzane.

Kabylowie marokkańscy rozwijają rokosz coraz silniejszy, tak dalece, iż rząd hiszpański postanowił wysłać okręty wojenne do Mazaganu, dla obrony własnych interesów.

BADANIA NAUKOWE.

POSZUKIWANIA SOCYOLOGICZNE.

Prace Morgana zwiastują przełom w postępach nauki o początkach społeczeństwa ludzkiego, oraz drogach, jakiemi podążał jego rozwój. Badacz amerykański po raz pierwszy dał nam klucz do zrozumienia ustroju pierwotnego, który do ostatnich czasów stanowił tajemnicę. Naturalnie, jak wszelka inna praca naukowa, dzieła Morgana posiadają jedynie wartość względną — w granicach pewnej epoki. Znaczenie książki bowiem w rozwoju wiedzy bynajmniej nie na tem polega, ile z niej pozostanie po pewnej liczbie lat, ale jak wpłynęła ona swego czasu na pchnięcie nauki ku nowym torom i ile zawierała w sobie pierwiastku zapładniającego. Etnograf zamorski oddziałał właśnie bardzo silnie w tym zakresie. Studyując pracę poszukiwaczy źródłowych, wciąż mamy do czynienia z imieniem tego badacza; są pomiędzy nimi ślepi jego wyznawcy, są inni znowu, których poszukiwania wydają rezultaty dość odmienne od tych, do których on doszedł, ale wszyscy, nawet w rozterce z autorem *Społeczeństwa pierwotnego*, przyznają mu, że wiedzę socyologiczną wprowadził na zgoła nowe a nader wydajne pola. Co więcej, już w dzisiejszym stanie obchodzącej nas nauki, śmiało możemy powiedzieć, że w znacznej liczbie jego wnioski i przykłady są szematami, z jednej strony zanadto uogólnionymi, z drugiej wyprowadzonymi z materyału stosunkowo niezbyt obfitego, a nawet w nagromadzonych przezeń tablicach pokrewieństwa i powinowactwa same dane nie zgadzają się w pewnej mierze z wypowiadanym poglądem. Niewątpliwie dalsze poszukiwania jeszcze więcej nadwątlą wzniesioną przez Morgana budowlę; starzeć się jest prawem natury! Ale stało się to widoczne tylko skutkiem odkryć, poczynionych przez naszego amerykanina; klucz, przezeń zrobiony, otwiera nie wszystkie zamki, lub z pewną trudnością wywiązuje się z owego zadania. Jeżeli ten i ów badacz, ciągnąc dalej jego dzieło, buńczucznie poprawia wielkiego etnografa i chełpliwie wykazuje jego błędy, to postępując w taki sposób zapomina, że bez Morgana nie wiele byłyby warte jego własne trudy. W każdym razie takie kopnięcia nietylko nie dowodzą delikatności uczuć, ale zwykle idą w parze z małymi rezultatami pracy tych działaczy. Kto dużo sam zrobił, ten nie powstydzi się oddać swoim poprzednikom tego, co im się słusznie należy.

Parę tych uwag, zwłaszcza końcowych, nasunęła książka nieznanego nam dotychczas Henryka Cunowa *), poświęcona zbadaniu stosunków społecznych pomiędzy tubylcami lądu australskiego, a poniekąd nosząca na sobie charakter wojowniczy. Niewątpliwie praca ta zrobi imię swojemu autorowi. Naprzód badacz niemiecki z wielką cierpliwością przejrzał wszystko, co tylko istnieje w literaturze etnograficznej o ludach N. Holandyi. Nadto, za wiele rzeczy, znajdujących się po za obrębem „lądu kopalnego.“ Ażeby wytknąć mu błędy, na to trzeba parę lat studyów uprzednich lub też specyalistów, których jest nie wielu. Autor zachowuje „bezstronność“, podaje mnóstwo faktów, pozornie w bardzo wyczerpującej postaci, za pomocą materyału, nagromadzonego przez jednych, wykazuje niesłuszność wniosków innych poszukiwaczy. Wszystko to sprzyja temu, że poglądy Cunowa zostaną przyjęte a książka jego uznana będzie za „epokową“ przez uczonych profesorów i wogóle badaczy, dla których każde wydrukowane zdanie jest już ciężarem na szali sądów. Znaleźliśmy się jednak w tem szczęśliwem położeniu, że materyał, zużyty przez Cunowa, jest nam również dobrze znany. Możemy więc powiedzieć nieco o wartości wniosków i co więcej, korzystając ze sposobności, rzucić pewne światło na sposób pisania książek. Może to ostatnie będzie nawet ciekawsze, jako rzecz, która każdego potrafi zainteresować, wówczas kiedy tamte uwagi mogą zaciekawić nieliczne grono. Faktycznie, książka Cunowa jest jedynie przetłomaczeniem na język niemiecki w odpowiedniejszej postaci prac Howitta. Ten badacz stosunków australskich odznacza się niezmierną ostrożnością i sumiennością; nie daje szerokich uogólnień i poprzestaje na skromnej, ale zawsze posiadającej swoją wartość — roli monografistyzbieracza. Owiany duchem wywodów Morgana i Mame'a, nie utracił swojej samodzielności, bo zresztą byłoby to trudnem: Stosunki australskie są tak odmienne i charakterystyczne, iż w żaden sposób nie dadzą się wtłoczyć w szablon, chyba że z pogwałceniem faktów najwidoczniejszych. Otóż Cunow, jak rzekliśmy, przetłomaczył wprost całe stronice z Howitta, przeplatając je zresztą podobnymi wyciągami ze źródeł mniej wiarogodnych, np. z Dawsone. C. Engels zrobił z Morganem, to Cunow z badaczem australskim, z jedną tylko różnicą: tamten wiedział, że uznając Morgana będzie Engelsem, wówczas gdy ten uważa za stosowniejsze, gdzie tylko może, ugryźć Howitta, tudzież po drodze i autora *Społeczeństw pierwotnych*. Wspomniany powyżej etnograf australski bada tubylców od lat niemal dwudziestu; puszcza w świat drobne monografie, w miarę tego jak zbierze dostateczną liczbę spostrzeżeń. Naturalnie są tam części sprzeczne, gdyż bliższe wejrzenie okazuje pośpieszność albo fałsz tego lub innego faktu; — wszak pierwsza praca Morgana jest istotnym stekiem niedorzeczności, z których prawdopodobnie ten wielki badacz śmiał się, gdy opracowywał swoje późniejsze dzieło. To samo z Howittem. Możemy więc u niego wonaleźć słabe ustępy i zestawić z je późniejszymi. Cunow to czyni, tylko że nie mówi, iż bije go własnymi jego wyrazami. Jest to tani sposób powiedzenia mądrych rzeczy i zniżenia czyjejś wartości... Po za tem uczony niemiecki obchodzi się z materyałem faktycznym albo niesumiennie, albo lekkomyślnie. Wszystko, co niezbyt pasowało do jego kramu i nie było poparte obszernemi wzmiankami — nie istnieje, chociażby wyszło z pod rąk najbardziej zasługujących na ufność i posiadało znaczną doniosłość. W ten sposób zupełnie ulotniły się sicze australskie i inne podobne stosunki. Następnie autor powyższy wprost odrzuca wszystkie uporządkowania ustrojów. Bezwarunkowo, monografista, zamknięty w wązkich widnokręgach, nie dostrzeże tego i owego, albo źle pojmie, wówczas gdy pisarz, w rodzaju uczonych europejskich, rozporządzając materyałem z różnych okolic, niejednokrotnie może wykazać błędy. Badacz niemiecki po za Australię niezbyt wygląda. A jednak te grupy, które Howitt uważa za stojące wyżej, on mieści niżej i na co tamten patrzy, jako na coś wyjątkowego, ten przeciwnie, bierze za rzecz normalną—i to bez dostatecznych powodów. W rezultacie fakty wyglądają inaczej, niż są w istocie, a jednak pozostają faktami, nikt zaś nie będzie tego sprawdzał. Ostatecznie więc Australia językiem Cunowa wypowiada coś innego, aniżeli należałoby się spodziewać, i w ciągu dalszym będzie to czyniła na stronicach prac innych autorów. Niemiec uczony robi wrażenie człowieka, który wziął za godło swej pracy sprowadzenie nauki na manowce, aby się błąkała przez długie lata.

Przyjrzyjmy się jeszcze najogólniejszym rezultatom rozpatrywanej książki. Przedewszystkiem autor usiłuje przelać światło na organizacyę klas, gromadzących odrębnie każdą płeć i przytem tak urządzonych, że dzieci należą do innej gromady, aniżeli rodzice, i inne noszą imię. Pisarz ten powiada, że istniejące dzisiaj zwyczaje australskie rzucają światło na ich rodowód. Każdy mężczyzna i kobieta jednego wieku w dzieciństwie mają niby nosić jedno imię, potem przy obrządku wtajemniczania otrzymywać nowe, jeszcze później, po zawarciu związków małżeńskich, inne. Każdej takiej grupie wolno się żenić jedynie w swojej generacyi, tj. z osobami, noszącemi to samo nazwisko. Nic podobnego niema dzisiaj! Zresztą jest rzeczą możliwą, że w taki sposób powstały kiedyś klasy. Otóż osoby wyższej klasy są zbiorowymi ojcami; niższej—zbiorowemi dziećmi, tj. każdy przedstawiciel drugiej nazywa członków pierwszej swoim ojcem lub matką. Morgan widziałby w tem dowód zbiorowych związków małżeńskich — kiedy bowiem stosunki realne zmieniły się, mowa dochowała w swoich wyrażeniach i nazwach spuściznę wieków. Cunow stara się dowieść, że „ojciec“ co do swego źródłosłowu oznacza jedynie „wielki,“ „stary,“ że następnie źródłosłów „dziecka“ oznacza „małe,“ „młodsze,“ że zatem określenie nazw wstępnego i zstępnego pokrewieństwa wyraża jedynie różnicę wieku. Jest to najpozytywniejszy owoc pracy badacza niemieckiego, zupełnie prawdopodobny, z pewnemi ograniczeniami. W dalszym ciągu usiłuje on dowieść, że w Australii u plemion niższych istnieje prawo ojcowskie, wyższe zaś trzymają się macierzyństwa; obie, zdaniem jego, czynią wspomnianą już przez nas woltę z określeniami i faktami, danymi przez Howitta. Wreszcie odrzuca twierdzenie, jakoby niższe grupy hołdowały zbiorowym związkom małżeńskim; ponieważ jednak trudno było zaprzeczać nagromadzonym w Australii dowodom, przeto przyznał, że istnieje tu i owdzie coś podobnego, ale stanowi nie wytwór ogólnie obowiązujących tam przemian, lecz tylko czysto miejscowych okoliczności. Te dwa wnioski stoją w najjaskrawszej sprzeczności ze spostrzeżeniami wybitnego badacza australskiego, którego nazwisko tylokrotnie wspominaliśmy.

L. K.

*) Heinrich Cunow. *Die Verwandtschafts-Organisationen der Australneger.* Stuttgart.

LITERATURA I SZTUKA.

JHERING PO ŚMIERCI.

Już drugi rok upływa od śmierci znakomitego romanisty i filozofa niemieckiego, Rudolfa Jheringa. Wiadomo, że w spuściźnie po nim został niejeden zwój urywków dalszych tomów prac zaczętych. Nie sprawdziły się atoli przypuszczenia niektórych, że znajdzie się dokończenie całe i zupełne „Ducha prawa rzymskiego“ (ostatni tom 4-ty pisany był jeszcze w r. 1865) i „Celu w prawie,“ którego tom drugi ukazał się był na dziesięć lat przed śmiercią autora. Nadzieje te są płonne. Spadkobiercy i wydawcy jego milczą zupełnie o spuściznie pożądanej. Natomiast otrzymujemy dzisiaj dzieło, które na pierwszy rzut oka z działalnością naukową Jheringa nic wspólnego nie ma: *Die Vorgeschichte der Indoeuropaeer* (1894 str.

XIII i 486)—obraz kultury świata w epoce, która poprzedzała ukazanie się indo-europejczyków na arenie historycznej. Do korony prac zmarłego przybywa obecnie kamień odmienny barwą i blaskiem.

Przed laty piętnastu profesor lipski, Binding, powziął był piękną myśl wydawnictwa „Systematycznego podręcznika prawoznawstwa niemieckiego“, któryby obejmował całokształt dyscyplin, składających w dobie naszej naukę na wydziałach prawnych uniwersytetów niemieckich. W wydawnictwie tem, obliczonem na pięćdziesiąt blizko tomów, z których trzecia część zaledwie jest już dzisiaj gotową, obiecali współudział swój najwybitniejsi prawnicy niemieccy, a dzieje rozwoju prawa rzymskiego miał napisać Jhering. Nie należał on nigdy do cechu scholastyków prawa rzymskiego, ujawniających wybitny troglodytyzm naukowy i z tego powodu zapewne słyszałem na ławie uniwersyteckiej bezmyślne słowa: „Jheringa nie należy uważać za wielkiego znawcę prawa rzymskiego!“ O, naiwności ludzka!.. Ale świat naukowy przyzwyczaił się żądać od historyi — dalekich widnokręgów dziejowych, a od wszelkiego zobrazowania rzeczowego — zasady rozwoju, przeprowadzonej metodycznie i prawie z przyrodniczą ścisłością. I tutaj właśnie historyk „Ducha prawa rzymskiego *na różnych szczeblach jego rozwoju*“ — był w swoim świecie.

Odzwyczailiśmy się już potroszę uważać prawo rzymskie za wyraz „wiecznego rozumu.“ Szczególnie w ostatnich latach kilkunastu zwycięzkie badania nad prawem etnologicznem pozwalają nam ostudzić w znacznym stopniu zapał poprzednich pokoleń dla geniuszu Sabinów, Pupinianów i sprowadzić do skromnego uznania dla zdolności architektonicznych narodu, który potrafił obcą sobie, zewsząd skupioną treść ulać w jeden całkowity organizm prawny. Jhering zdala tylko, niekiedy nawet drwiąco, przyglądał się młodzieńczym zapasom prawników-etnologów; ale samodzielnie chciał sprawdzić, ile zasad i myśli podstawowych zawdzięcza prawo rzymskie w ostatecznej jego formie pomników prawodawczych kulturom obcym. Obdarzony wielkim umysłem badawczym, zamierzał w krótkim tylko rozdziale wstępnym rozpatrzeć „Wspomnienia z prastarej przeszłości.“ Chciał wiedzieć, co w zdobyczach kultury przynieśli ze sobą rzymianie z praojczyzny swojej. Nie tutaj atoli był kres ciekawości. Pytał dalej: co zapożyczyli u semitów (babylończyków, fenicyan, kartagińczyków)? Ta ostatnia kwestya zajmowała go przez dwa lata na schyłku życia — i stanowi drugą część wydanego obecnie dzieła (str. 93—305), według nas najlepszą, może jedynie dobrą. Tymczasem z nagromadzonego materyału wyrósł nie rozdział, lecz wielki tom przedwstępnych dociekań przygotowawczych. Tchu autorowi jednak nie starczyło dla wypowiedzenia właściwej historyi prawa rzymskiego. Zaledwie cząstka jej pozostała, która wyjdzie niebawem.

Przyjrzyjmy się obecnie temu, co posiadamy już dzisiaj. We wstępie rozwija Jhering szerzej i drobiazgowiej pytania, które mu kazały wrócić do dziejów narodów azyatyckich. Dalej zaznacza metodę swej pracy. Przy badaniach podobnych do tych, które przedsiębrał — filologia wyświadczy usługi bardzo małe. Po wielkich tryumfach tej nauki w pierwszych 75 latach wieku naszego, po stwierdzeniu np. pokrewieństwa narodów „indo-europejskich“ (jeżeli wolno użyć jeszcze dzisiaj terminu, przez naukę już wykreślonego), badacze przeszłości kultury unikają coraz bardziej pomocy filologii, która okazała się uludną i często tylko mylącą. Nie wiemy wcale — mówi Jh. — gdzie mieszkał ów pra-lud, kiedy wyruszył w drogę i ile upłynęło czasu, aż narody „indo-europejskie“ zajęły swe późniejsze siedliska, jaką szły drogą, czy rozpadły się jeszcze w pierwotnej swej ojczyznie, czy później dopiero. Wiadomości, jakiemi Jhering rozporządza, kończą się w pra-ojczyznie, przerywają na długi szereg wieków i rozpoczynają następnie już w nowych ojczyznach historycznych narodów europejskich. Tymczasem luki tej, dzielącej europejczyka od indusa, niczem zapełnić nie umiemy. Skąd ta zmiana? Czy uczyniły ją warunki i grunt (ziemia, klimat, figura kraju)? Te są różne w Grecyi i Niemczech albo Anglii i Włoszech, typ zaś jest ten sam. „Nie Europa stworzyła europejczyka, ale on Europę.“ Z pokojowego pastucha aryjskiego powstał wojownik, który musiał zdobywać sobie każdą piędź ziemi, aż znalazł wreszcie nową ojczyznę. „Zamierzam przeto odtworzyć urządzenia i stosunki epoki wędrówek, wyborne wpływy moralne owego koczownictwa na charakter indo-europejczyka i w ten sposób objaśnić różnicę typów europejczyka i azyaty... Wykażę następnie, jak przypuszczalnie naród ten, który dotąd nie był się jeszcze rozpadł zupełnie, któremu rolnictwo było zgoła obce, napotkał na swej drodze inny, znający już to wszystko, zwyciężył i zapanował nad nim przy pomocy środka przedtem nieznanego tubylcom: poddaństwa. Przenoszę siedlisko tego narodu do Rosyi południowej w okolice Dniepru, Dniestru i Dunaju. Tutaj wędrowcy odpoczywali poprzez długie stulecia, aż owa ziemia wycieńczona i nieuprawiana należycie, okazała się zbyt mało płodną dla wyżywienia ludności zwiększonej. Rozpoczął się więc znowu szereg wędrówek, które dla tych samych powodów musiały powtarzać się peryodycznie. Niektóre z tych kolumn wędrownych przepadły po drodze, uległy zaporom, inne natomiast dotarły szczęśliwie do granic nowej ojczyzny. Tutaj nastąpił podział narodów europejskich...“ Następne części dzieła, z których pozostały zaledwie tytuły, miały przynieść obraz porządku, w jakim odpadały oddzielne gałęzie od pnia wspólnego.

Takim był szemat, według którego zmarły uczony, chciał dręczące go pytania rozwiązać. Programu tego niewielką drobinę wypełnił. Dwie ostatnie części — najciekawsze bezwątpienia z całej pracy — odpadły bezpowrotnie, a w pozostałych pięciu znaleźć można niejedną lukę. Przyjrzyjmy się nieco bliżej treści.

W części pierwszej autor rozpatruje na podstawie materyału dość szczupłego — stan kultury aryów pierwotnych. Nie znali oni rolnictwa; byli narodem pasterskim, osiadłym i licznym, niemającym miast, ani metalu; pod względem urządzeń prawnych zajmowali bardzo nizkie szczeble (stanowisko kobiety, dziecka; prawo karne). Pomimo przeszłości wielowiekowej, nie doszli nawet do stopnia rozwoju, na którym pojęcie prawa składa się ze splotów religijnych i obyczajowych. Charakteryzując aryów pierwotnych, Jhering uważa ich za naród pozbawiony wszelkich zdolności praktycznych. „Wysoce uzdolniony pod względem umysłowym, wybitny na polu języka, religii, poezyi, w późniejszym czasie na niwie filozofii — nigdy nie uczuwał poprawy swego losu. Wystarczało mu życie pasterskie, którego jednostajność przerywał zaledwie grą i piciem. Brak umysłu praktycznego zachował się u tego narodu aż do dni naszych i sprawił, że znosi on obcą władzę nad sobą.“

Dalej Jh. omawia swoją dawniej już znaną teoryę materyalistyczną postępu historycznego, przeciwko której i dzisiaj jeszcze odzywają się mało przekonywające głosy t. z. idealistów-historyozofów. Śród czynników, pod których wpływem tworzył się charakter danego narodu, najważniejszym jest ustrój jego ziemi. Przedewszystkiem warunki klimatyczne („klimat stanowi w połowie temperament narodu“), następnie orograficzne, obecność wód i morza. Rozumie się, że czynnik „ziemi“ należy pojmować nietylko w ścisłem znaczeniu warunków fizycznych, ale także jako sumę wpływów, powstających historycznie i w ciągłym rozwoju kształtujących tak lub inaczej dzieje grupy ludzkiej. Stosując więc zasadę owej filozofii do przedmiotu obranego, Jhering bada w zarysie porównawczym warunki kulturalne aryów i semitów. Dla przykładu wybiera babylończyków, od których assyryjczycy, fenicyanie i hebreowie oddzielili się dopiero później.

Autor dowodzi, że cała kultura babylońska, stojąca na wysokim stopniu rozwoju, związana była z ustrojem i losami tego narodu. Wszystko, co zdziałał, zawdzięcza tylko naturze. Nie dając mu drzewa i kamienia, nauczyła go robić cegłę. Z tą ostatnią wiąże się wysoce rozwinięta sztuka budownicza; z rzemiosłem budownictwa, a więc z pierwszym rodzajem organizowanej wspólnej pracy — podział czasu. Z budownictwa wypływa geometrya i arytmetyka. Z cegły powstały miasta, a z niemi wszelka kultura, możliwa tylko w mieście. Dalej: ufortyfikowanie miasta i z tem związane bezpieczeństwo i stałość ustroju państwowego; handel szeroki, pismo trwałe, a więc zachowanie pomników kultury babylońskiej. W ten sposób „cegła palona“ zawiera w sobie połowę świata babylońskiego. Drugiej zaś szukać trzeba w istocie „okrętu.“ Z tym wiąże się możliwość żeglugi na rzekach i morzach, następnie znajomość nieba gwiaździstego i powstanie astronomii. Dalej wyrasta handel zewnętrzny: przywozowy i wywozowy, potem pożyczka morska i zwykła procentowa; znaczenie pieniędzy, rozwój prawa, napływ wielkich bogactw do Babylonu, które skruszyły państwo.

Co otrzymali aryowie od Babylonu? Przedewszystkiem zamiast drewnianego, dom z kamienia, a więc miasto i środki jego obrony, drogi, mosty, użytkowanie metalu, monetę, pożyczki procentowe, sposób spisywania aktów. Dalej — w dziedzinie prawa publicznego—republikę; w dziedzinie międzynarodowej wymiany handlowej — umowę gościny. Wreszcie — alfabet, wymiar czasu (dzień, godzinę, minutę). Siódmy dzień wypoczynku zdaje się za pośrednictwem chrześciaństwa przeszedł od semitów do aryów. Początki matematyki i astronomii, wreszcie — sztuki plastyczne.

Autor obiecywał dać nam obraz typów arya i semity i przeciwieństwem tych charakterów etno-psychologicznych objaśnić wielkie i ostateczne zwycięztwo świata aryjskiego nad semickim. Pozostały wszakże tylko stronice rękopisów, na których Jh. ściera się z Renanem o semitów.

Jeżeli przyjrzymy się z blizka aparatowi naukowemu, jakim wogóle rozporządza uczony romanista, to zdziwi on nas niemało skromnością swych kształtów. Już dawniej, pisząc „Cel w prawie,“ skarżył się na brak wykształcenia filozoficznego, dzisiaj narzeka na nieznajomość prawa germańskiego. Co gorsza jednak, to smutny fakt, że podstawy omawianego przez nas dzieła są zupełnie fałszywe. W pierwszej części pracy, gdzie rozpatruje ustrój i kulturę indów starożytnych, opiera się jedynie na dziele Zimmera *Altindische Leben.* Praca ta, jakkolwiek pochodzi z r. 1879, jest dzisiaj zupełnie przestarzałą i we wnioskach swych i podstawach krytycznych bezwartościwą. Zimmer uważał indów w epoce Rigvedy za pra-aryów. Tymczasem nowsza i najnowsza indologia *) odrzuca to przypuszczenie, jako zupełnie fałszywe: indowie z czasów Rigvedy są już ludem o kulturze rozwiniętej, odbiegłej o wielką przestrzeń rozwojową od czasów,

*) Por. np. Pischel i Geldner. *Vedischestudien*, I, 1889.

kiedy pra-historya mówić może o pra-aryach. W ten sposób większa część przypuszczeń i założeń Jheringa upada sama przez się. Obraz kultury aryjskiej jest z gruntu fałszywy, a więc i wszystkie wnioski stąd wyprowadzone. Porównanie aryów z semitami nie ma racyi bytu. Nie czynimy atoli zarzutu, któryby kazał utwierdzać zawczasu zdanie nasze co do przyszłej, zbudowanej na tych podstawach historyi prawa rzymskiego. Tam wielki uczony mógł budować bez względu na mylne wnioski, które wyprowadził z przeszłości. Ale wobec materyału sprawozdawczego, który znajduje się dzisiaj w rozporządzeniu naszem, możemy i odważamy się przyjąć tylko drugą część („kultura semicka"), jako naukową i wartościową. I chociaż tutaj prace assyryologów współczesnych mogły dostarczyć wiele faktów niewyczerpanych i nieznanych Jheringowi, znakomity punkt widzenia i ściśle przeprowadzenie słusznej zasady, nadaje wszakże tej pracy charakter jeżeli nie zupełnie nowy, to wartościowy i czytania godny. Zaznaczmy także, iż książka ukazała się przed kilku zaledwie tygodniami. Specyalni sprawozdawcy naukowi nie wypowiedzieli jeszcze o niej swego zdania. Czy jednak, gdy to nastąpi (za kilka może miesięcy), sąd ten od naszego będzie łaskawszy i czy „Prahistorya aryów" stanie w Panteonie zasług Jheringa obok „Ducha prawa rzymskiego" — o tem szczerze wątpimy.

S. Posner.

LITERATURA ANGIELSKA.

Maxvell Gray: *The silence of the dean of Maitland.* — Francis Thompson: *Poems.* — Richard Hovey: *Launcelot and Guenevere.*

Pytanie, czy powieść współczesna należy jeszcze do literatury, może być śmiało postawione bez najmniejszej obawy posądzenia o paradoks.

Wszak nikt nie zechce twierdzić, iż domy naszych miast mają coś wspólnego ze sztuką, architekturą; jest to zwykłe przedsiębiorstwo zupełnie obce dziedzinom piękna i smaku.

Aferzyści A, B, C wybudują wam ten sam dom w kilku okazach, nie pozostawiwszy na nich ani śladu swej osobowości. Toż samo przedsiębiorcy powieściowi. Wszyscy piszą mniej więcej gładko, poprawnie, ale nic nie odróżnia jednego od drugiego. Powieść realistyczna jest jednym z licznych przejawów tego zalewu demokracyi, który wtargnął do literatury również jak i do wszystkich zakresów życia i wszędzie grozi zwycięstwem starannej miernoty. Ale są i wyjątki.

„Milczenie dziekana Maitland" jest utworem młodej, lecz obiecującej autorki, Maxvell Gray. Cyryl Maitland, dziekan Belminstru, ma na sumieniu okropną zbrodnię. Cnota jego, podsycana długi czas ascetyzmem, roztopiła się nareszcie w ogniu pokusy. Zapomniał o swych obowiązkach pastora i człowieka uczciwego. Zaręczony z panną Everard, pokochał żądzą zmysłową Annę Lee, piękną wieśniaczkę i w chwili szału namiętności doprowadził ją do upadku.

Względy stanowiska nie pozwalają mu ożenić się z nią, chciały zadowolić ofiarę „alimentami." Stary Lee jest wszakże zbyt dumny, aby pozwolić na takie rozstrzygnięcie sprawy. Napada on na Cyryla w ciemnym lesie, ten zaś, broniąc się, zabija starca.

Trup Lee'a, znaleziony wkrótce potem, sprowadza śledztwo i dziwnym zbiegiem okoliczności wszystkie dowody wskazują, jako sprawcę zabójstwa, doktora Everarda, przyszłego szwagra przestępcy. Skazany on zostaje na dwadzieścia lat ciężkich robót.

Ks. Cyryl milczy, a uwiedziona Anna domyśla się wszystkiego, nie chce jednak zgubić człowieka, ku któremu miłość jeszcze w niej nie wygasła.

Ubiegło wiele czasu; Cyryl, posuwając się coraz wyżej po stopniach karyery duchownej, staje się nareszcie biskupem Warhamu. Zgryzoty sumienia zagłuszył sofizmatami i jest szczęśliwym.

Tymczasem Everard powrócił stary, schorowany, zwichnięty. Jedno spojrzenie tej niewinnej ofiary wystarcza, aby sumienie przemówiło w biskupie. Reakcya przez długi czas powstrzymywana wybucha z szaloną mocą. Zwołuje on kler i lud, z ambony wyznaje swą winę i umiera.

Widzimy z treści, iż romans łatwo mógł się przedzierzgnąć w melodramat. Jest to więc zasługą talentu autorki, iż potrafiła ominąć niebezpieczeństwo i nadać wartość utworowi dobrą charakterystyką osób, dość głęboką analizą psychologiczną tudzież zwięzłem opowiadaniem. Zatrzymaliśmy się nad tą powieścią, gdyż należy ona do nielicznych w Anglii, które noszą na sobie ślady istotnego artyzmu.

Wolimy jednakże poezyę: tu przynajmniej, w braku świeżych pomysłów, piękno formy jest obowiązkowe. Anglia ma nowego i prawdziwego poetę. Jest nim Francis Thompson. Pomimo, iż wydał dotychczas tylko zbiór wierszy, złożony z 80 stronic, krytyka jednogłośnie stawia go na czele ostatniego pokolenia poetów angielskich. Osiwiały mistrz rymów, Coventry Patmore, powiada o nim: *M-r Thompson is a Titan among recent poets* *). I nie jest to rozdęta sławą miernota; Thomson ma już lat trzydzieści pięć; w takim wieku smak bywa zupełnie wyrobiony, a napisania ładnego utworu nie można już uważać tylko za rzecz przypadku.

Thompson jest archaistą i dlatego język jego poezyi, jakkolwiek wytworny i wspaniały, jest zmanierowany i pełen wyrafinowania. Ale inaczej być nie może. Autor nakreśla sobie zadanie odnowienia tematów, wzruszeń i języka XVII stulecia. Nie posądzamy, iż, pisząc, miał przed oczyma wzory starożytne, które chciał tylko naśladować. Główną zaletą poety jest uczucie szczere — a ono już samo wyraża się w sposób najodpowiedniejszy.

Dla Thompsona ostatnie 250 lat rozwoju poetyckiego, jakby nie istniały: takie zjawisko atawizmu artystycznego, pod którem nie kryje się zwykłe naśladownictwo, jest wypadkiem rzadkim i nader ciekawym. Najcharakterystyczniejszym rysem tej poezyi jest gorąca wiara, katolicyzm zagorzały i namiętny z czasów Stuartów; następnie znajdujemy tu zamiłowanie obrazów fantastycznych, liryczne przesady miłosne, dziwne połączenie prostoty i sztuki, niepowstrzymanie porywów namiętnych, wyrażonych w formie zmanierowanej. Wszystko to jest znamieniem wieku Crashaw'a i odtworzone z zadziwiającą wiernością.

Tylko w pojmowaniu piękna kobiecego Thompson bywa bardziej nowożytnym; ale tu jest uczniem Rossettiego, odtwarza jego sensualizm mistyczny, który łączy i przeplata niepostrzeżenie i nader delikatnie rysy duchowe i cielesne.

Nawet na nieożywioną naturę Thompson rzuca zasłonę przestarzałego mistycyzmu i użycza jej obrazów z rytuału religijnego. U niego „Noc klęczy w świątyni gwiaździstej," kochanka nosi swe ciało, jak szatę powłóczystą duszy. „God laid His finger on the ivories of her pure members, as on smoothed keys and there outbreathed her spiryts harmonies." (Bóg dotknął palcami kości słoniowej jej członków i, jak z klawiszów, wydobył harmonię jej ducha).

*) *The Fortnightly Review.* Styczeń, 1894.

Najbardziej udatne z tego zbioru wierszy są „Her Portracit," „A Corymbus for Autumn," „To the Dead Cardinal of Westminster," „The Hound of Heaven" — ten ostatni jest symbolem łaski Bożej, goniącej za duszą ludzką. Wszystko to pełne wzruszeń religijno-ekstatycznych, a zarazem sensualizmu o kolorycie kościelnym.

Autor ma nader chorobliwe, nawet bolesne pojęcie o życiu, bez miłosierdzia wprowadza nas w swoje przeczucia śmierci i zmiany fizyczne, jakie ona za sobą pociągnie: gnicie ciała cuchnącego, ucztę robaków itd.

Wraz z uczuciem miłości i mistyki Thompson zapożyczył od XVII stulecia właściwości formy: dowolność budowy i dziwacznych przenośni. Posypały się nawet oskarżenia o plagiat, na co Patmore odpowiada: „Idee, a do pewnego stopnia język i styl prawdziwych poetów stają się wspólną własnością cechu, jedynie zaś od jego członków można wymagać urozmaicenia i udoskonalenia tego, co jedni biorą od drugich, tak aby w pewnym stopniu zrobili je swojem. Najsławniejsi poeci a nawet najznakomitsi artyści wszelkiego rodzaju byli największymi plagiatorami. Nikt nie podejrzewa, jak dużo Milton „kradł," a każdy, kto spędził kilka miesięcy pośród galeryi i kościołów włoskich, musiał dostrzedz, iż żadne dzieło Rafaela nie może być nazwane *zupełnie* jego własnem." Zbiór Thompsona nie należy do przypadków codziennych w literaturze; przeciwnie, trzeba w nim uznać poetę pierwszorzędnego, ze względu na bogactwo wyobraźni, subtelność myśli i mistrzostwo formy.

Dziwna rzecz, czemu w literaturze współczesnej wydają się możliwe tylko drobiazgi psychologiczne; obrazy zaś wyładowania potężnych sił odstraszają nas. A jednak zachwycają one w dziełach Rubensa lub M. Anioła! Straciliśmy tajemnicę opracowania wspaniałości i przepychu żywiołów rozkiełznanych. Przebłyski tej cudownej władzy znajdujemy w „Launcelot et Guenevere." (A Poem in Dramas, By Richard Hovey 1894).

Trzeba mieć wiele śmiałości i talentu, aby po tylu mistrzach ponownie przystąpić do opracowania legendy Arturowskiej. Autor odpowiada obu warunkom, to też wywiązał się ze swego zadania z powodzeniem. Jasność i żywość charakterystyki, bogactwo fantazyi, wcielającej się w obrazy pełne ruchu, piękno wiersza — oto główne zalety dzieła. Hovey potrafił wybrać chwile z życia Artura zupełnie odmienne od tych, jakie dawniej były opracowywane. Przedstawia on go zresztą nie jako króla „bez wady i plamy," jak to Tennyson czyni, ale zupełnie w innem oświetleniu.

Głównym węzłem utworu jest intryga miłosna Artura z Morgause, królową orkneyów, porzucenie kochającej, i zemsta, którą ona pała z tego powodu. To wykroczenie moralne bohatera pokryte jest wszakże wielką wspaniałością rycerską i mnóstwem zalet, które zdobywają sympatyę czytelnika.

Pierwsza scena przedstawia nam króla, otoczonego rycerstwem, gdzie się znajduje wierny Bors, cyniczny Galahaut, odważny Leonel i brat jego, Ector — w dzień ślubu Artura. Wchodzi kobieta, błagająca go, aby oswobodził jej kochanka, uwięzionego w górach przez barbarzyńskiego Turquine'a. Król zgadza się wykonać jej prośbę, ale dopiero po ślubie. Ona jednak oświadcza, iż to będzie za późno; wówczas Launcelot i trzej inni rycerze ofiarują swe usługi i, za zgodą króla, udają się w drogę. W następnej scenie znajdujemy ich śród skał i lasów. Launcelot opowiada Borsowi, iż w tem miejscu po raz pierwszy i ostatni widział damę swego serca. Jest nią dum-

na, nieprzystępna Guenevere, która nikogo nie kocha. Wychodzi za Artura tylko na prośby ojca.

Jej młodszy brat, Peredure, kochający Morgause, której przeszłości nie zna, uprzedza siostrę:

„Nie buduj więzienia dla siebie samej— przez jego zakratowane okna możesz nareszcie ujrzeć miłość — za późno! Niema smutku większego, niż miłość nieurzeczywistniona, ani radości — niż miłość mająca przed sobą wolę.“ Prośby jego nic nie wskórały.

W ostatnim akcie Launcelot, po zwycięztwie nad Turquinem, powraca, jest przedstawiony królowej przez Galahada i poznaje w niej panią swego serca.

Artur wnet po ślubie udał się dla zwalczenia króla kornwalijskiego. Okoliczność ta sprzyja wybuchowi zapałów miłosnych Launcelota, w czem pomaga też przebiegłość Galahada, pozbawionego czci i wiary. Naprożno Bors każe mu nie zapominać o obowiązkach. „Obowiązek? — odpowiada — to jest słowo zimniejsze, niż księżyc. Ty jesteś z lodu. Myślisz, iż miłość, nakształt psa, który liże rękę, legnie u mych nóg na rozkaz? Nie, ty nigdy nie kochałeś i nie wiesz, iż miłość wchodzi w serce, jak pani, nie jak niewolnica!“ Naprożno Bors błaga, aby Launcelot skierował swe uczucia ku celom szczytnym i szlachetnym — po długich walkach wewnętrznych całkiem oddaje się on tej miłości, Guenevere natomiast czyni to samo bez żadnych walk. Tej natury dumnej, niezależnej, demonicznej zdrada nie odstrasza. Tymczasem Morgause, aby się zemścić na Arturze, odkrywszy sekret pary zakochanej, chce go ogłosić. Sir Ladinas, inny jej kochanek, dał znać kanclerzowi, iż po powrocie króla będzie publicznie oskarżać królowę o złamanie wiary. Ale błazen Guenevere'y, Dagonet, chcąc ją uratować, opowiada Peredure'owi o intrydze Morgause'y z Ladinasem i wprowadza go nawet pokryjomu na ich schadzkę miłosną. Peredure zabija Ladinasa, a następnie i samego siebie. Morgause zostaje wypędzona z królestwa; niepoparte niczem jej obwinienie upada, a zaufanie króla do żony i przyjaciela, którzy go zdradzili, pozostaje nienaruszone.

L. W.

LITERATURA POLSKA.

Zofia Kowerska, *Siostry*, powieść.

Autorka za tło do swej powieści wybrała świat towarzystwa „wyższego,“ gdzie mieszanina wystawności i nędzy ludzkiej jest najbardziej typowa, lecz przybierająca odmienne barwy, pozornie nie rażące wielką sprzecznością. Świat ten poszczycić się może pewną kulturą estetyczną i obyczajową, popędy ma wyrafinowane, pragnienie życia i użycia głośne, pożądania swobody i niezależności przygłuszone i niepewne, spętane rozmaitymi względami i okolicznościami. Tym ludziom stosunkowo najtrudniej być panami swego życia, poznać gruntownie swoją naturę, urobić wysoki ideał etyczno-społeczny. W malowaniu tej sfery, właściwie w szkicowym rysunku niektórych jej przedstawicieli, autorka trzyma się miary rozsądnego, trzeźwego krytycyzmu.

Bohaterem jest Zygmunt Bielmoński, człowiek młody, dosyć przystojny, zawołany gospodarz. Posiada cechy dodatnie, ale odznacza się brakiem siły woli i samowiedzy moralnej, przytem nie jest bawicielem salonowym. Stryj, olśniony jego rządnością i niezależnością moralną, przekazał mu milionowy majątek. Został więc bardzo cenionym kandydatem na męża. Niebawem poślubił Maryę, siostrę żony Rzeweckiego, radcy, członka różnych komitetów i instytucyj, słowem, działacza publicznego — typ dosyć znany w naszych stosunkach. Mania była bardzo przystojna, goniła tylko za wesołem spędzaniem chwil. Póki Zygmunt nie otrzymał spadku, nie miała dlań żadnych szczególnych względów. Wymagała towarzystwa i gwaru nieustannej zabawy; zdawała się kwitnąć w cieple spojrzeń, jakiemi obrzucali ją mężczyźni. Jakby słodkiej pieszczocie, poddawała się zachwytowi otaczającemu. „Obowiązki rodzinne przedstawiały się jej jako rzecz bardzo luźna i niejasna.“ Kiedy miała zostać matką, zaczęła z prawdziwą manią ukrywać swój stan. Zygmuntowi, posiadającemu kobiecą czułość na wszystkie nędzne sprzeczności życia ludzkiego, styczność z żoną zaczęła się wydawać czemś nieznośnem, traciła dlań wszelki urok. Naprożno chciał ją przerobić, tchnąć szersze uczucia i idee, zachęcić do pełnienia obowiązków rodzinnych i obywatelskich. Daremnie tłomaczył, że nie mogą pozwolić sobie na ustawiczne próżniactwo. Wreszcie przekonał się, jak wiele fałszu spoczywa w czczych frazesach o urobieniu żony podług własnej modły. Coraz bardziej odsuwał się od niej, czuł, że nie odnajdzie już w ognisku domowem ani uniesień, ani szczęścia, ani nadziei życia. Jednocześnie coraz więcej zacieśniał się węzeł przyjaźni między nim a Józefą, siostrą jego żony. U tej ostatniej ton lekko szyderczy przykrywał głębokie nuty. Nieszczęśliwa była w życiu małżeńskiem. Rzewecki, ciągle przejęty własną indywidualnością i upojony życiem, niezaprzeczenie posiadał wielkie zdolności, ale był tylko pospolitym blagierem i deklamatorem. Józefa uważała męża za nędznego pajaca. Mogła się zdobyć dla niego tylko na litość i obowiązek, złagodzone przyzwyczajeniem. Kryła przed nim głębię swych uczuć i myśli z jakąś bolesną zaciętością. Ironiczna werwa Józefy, rzutki umysł, natura niezmiernie delikatna i zazdrośnie strzegąca swej czystości moralnej — odrazu zwabiły Zygmunta. Sympatya wciąż się wzmagała. Oboje ani przypuszczali, dokąd to może ich zaprowadzić. Kiedy Rzewecki nagle umarł, będąc wskutek brawury dziecinnej sam sprawcą śmierci, Zygmunt zaproponował Józefie objęcie posady kasyerki w swojej cukrowni. Bardzo chętnie na to przystała, znajdując wiele przyjemności w częstem obcowaniu ze szwagrem. Zygmunt, dzięki naturze, a także przeważnym wpływom matki, posiadał charakter miękki, sentymentalny, romantyczny. Marzył o aniołach stróżach ogniska domowego. Przedtem wdzięk młodej żony działał nań czasami bez jego wiedzy i woli. Potem ulotnił się wszelki ślad uroku czysto fizycznego. Po zachwytach miłości nastała dlań epoka żalu i gniewu. „Teraz z tych szałów i goryczy wyrastał kamienny spokój obojętności względem żony.“ Obcowanie z Józefą stawało się dlań niezbędną koniecznością. Coraz bardziej opanowywała go chęć dzielenia myśli i poglądów własnych z umysłem kobiecym, subtelnym, pełnym intuicyi. Zbudził się w nim na nowo interes życiowy i rozkosz młodości. Czuł w sobie coś odrębnego, jak gdyby prawdziwie tajemne życie. W uczuciach Józefy również rozlało się jakieś słodkie roztkliwienie. Autorka następującemi słowy wyjaśnia rdzeń istoty swojej bohaterki: „Była kobietą, a zatem matką z powołania. Potrzebą jej duszy była opieka nad kimś drogim, ktoby się jej powierzył, ktoby jej ufał i komuby ona była niezbędną.“ Zygmunt wypielęgnował miłość powoli, nazywając ją przyjaźnią. Józefa marzyła, jak młode dziewczę, z porywem bezmiernym ku miłości. Pełna była pragnień kochania i oddania się moralnego. Nagła i niebezpieczna choroba przecięła na długo osobistą styczność obojga młodych ludzi.

Zygmunt buntował się przeciwko tyranii ustaw społecznych, choć w głębi duszy czuł ich siłę i znaczenie. Chwilami doznawał tęsknoty za życiem czystem. Józefa została wreszcie siostrą miłosierdzia. Doszła do przeświadczenia, że życie prędko mija, że trwałe są tylko idee cnoty i poświęcenia.

Jak wiadomo, p. Kowerska bardzo lubi zakończenia sentymentalno-dramatyczne, czem się stanowczo wyróżnia od swoich koleżanek. Cóż powiedzieć o samej powieści? Talent autorki czyni postępy, wprawdzie nieznaczne i powolne. Objaw ten poniekąd usposabia nas sympatycznie. Również dodatnie wrażenie sprawia widoczna szczerość, głębokie przejęcie się przedmiotem. Obecnie pani Kow. jest najbardziej typowym talentem kobiecym, pod wszystkimi względami: zakres spostrzeżeń, sposób opisywania, metoda obserwacyi i wnioskowania, zapatrywanie się na naturę męzką i kobiecą — wszystko to odraza świadczy o jej płci. Swobodnie porusza się tylko w sferze uczuć miłosnych. Nie potrafi atoli ująć w jeden plastyczny obraz wszystkich różnobarwnych rysów natury człowieczej. Zapatrywania jej na istotę miłości również grzeszą jednostronnością, brakiem pogłębienia. Wbrew miękiemu temperamentowi, gwałtem porywa się do malowania napięć i zatargów dramatycznych w duszy człowieka. Zasługą jej jest, że potrafiła wykazać u niektórych przedstawicieli świata arystokratycznego utajone pragnienie czystości moralnej, nadziei niecodziennej, wielkie pożądanie miłości. I w tym świecie bywają dusze osamotnione, tęskniące. P. Kowerska dała nam rzeczy stare, w oświetleniu dosyć powszednim i pobieżnem. Pomimo prawdopodobieństwa i wiarogodności, obraz ten nie jest malowany gorącemi barwami prawdy. Analiza splata się z nadmiernem gadulstwem. Powieść stanowi zagadnienie ze sfery pospolitej erotyki, ubarwionej dogmatyzmem miłości. Bohater więcej posiada erotyzmu, niż silnych popędów zmysłowych. Urodzonym był kochankiem-mężem. Jako typowy charakter powolno-namiętny, nierównie więcej potrafi oddawać się marzeniu, niż działaniu. Jest on odbiciem pojęć i ideałów, panujących śród kobiet pewnego typu. Nie dziw, że postać Zygmunta nie nęci czytelnika blaskami i barwami; autorkom bowiem rzadko udaje się psychologiczny rysunek natury męzkiej.

Wogóle pani K. w swojej powieści ujawniła umysł subtelny, lecz nie badawczy.

Bron. Chrz...ski.

TEATR.

Wodewil. Michał Wołowski: *Kropka nad i.* — Feliks Kwaśniewski: *Papa Pepy.* — Klemens Junosza i Kazimierz Laskowski: *Wyścig dystansowy.*

Ogródki mają zadanie zbyt trudne. Przy braku odpowiednich sił aktorskich lub ich zniechęceniu, przy lichych środkach i nędznym repertuarze zabawić lub zająć publiczność — to jest dzieło, równające się kręceniu bicza z piasku. Po za tem trzeba wnikać w usposobienie słuchaczy i umiejętnie do niego się nastroić, trzeba oceniać nie tylko liczbę osób, ale również ilość kufli i kieliszków wychylonych, od czego także mniej lub więcej życzliwe przyjęcie zależy. W końcu jest jeszcze jeden czynnik, któremu artyści ogródkowi z rezygnacyą poddawać się muszą: — pogoda. Każdy aktor przed rozpoczęciem widowiska patrzy na niebo, jak rolnik przed żniwem i odpowiednio do stanu atmosferycznego ci żniwiarze na polu sztuki zbierają plony. Jeżeli do tego wszystkiego dodamy scenę otwar-

tą na wolnem powietrzu, będziemy mieli całokształt warunków, wpływających na sąd łagodzący, wybaczenie głosów zachrypłych, przytłumionych i „kogutów“ zbyt częstych. Ta sama pobłażliwość należy się i reżseryi, która wystawia stare, odwieczne sztuki, albo nowe nędzoty, napisane przez ludzi, mających tyle wspólnego z talentem, co aktor wędrowny z filozofią. Jałowy i płytki zlepek frazesów, owiniętych w szmatę naiwnej, niezdarnej fabuły, jeżeli będzie okraszony tłustymi kupletami—potrafi zadowolić niezbyt wybrednego widza, między jednym a drugim kufelkiem piwa. Autorowie sezonowi, wyrastający w ogródkach i umierający po ich zamknięciu, nie szczędzą sił i zabiegów, ażeby swoje „sztuki“ otrąbić w gazetach, nie przebierają w środkach reklamy, chociażby kosztem własnych towarzyszy. Dzięki temu, wjeżdżają oni na scenę i starają się na nich ruchem wahadłowym utrzymać, jak cyrkowiec na linie, dopóki zręczniejszy nie strąci. Z tych ostatnich w sezonie bieżącym jest bardzo mało i co dziwniejsza, że widzimy imiona znane, z pod których pióra wyszły dawniej rzeczy o wiele lepsze. Widocznie darzą oni ogródki monetą zdawkową, wytrząśniętą pośpiesznie z mózgów, znużonych i zajętych robotą codzienną.

Taki pośpiech widzimy w sztuce p. Michała Wołowskiego p. t. „Kropka nad i“, wystawionej w Wodewilu. W zręcznie powiązanych scenach i postaciach nie brak szczerego humoru i prawdy życiwej, ale całość nie pozostawia wrażenia w umyśle, tak dalece, że jeżeli widz zajrzy powtórnie do teatrzyku — wysłucha wiele scen, jakgdyby po raz pierwszy. A przecież p. Wołowski umie rzeczy wartościowe pisać! Treść jest oparta na pogoni za szczęściem w postaci małżeństwa. Z wielu typów wyróżnia się żywo pochwycony jeden: odważny blagier i łgarz.

Zupełnie inny nosi charakter prawdziwa „bomba“ pod względem formy, treści i łoskotu z jakim wpadła na scenę: „Papa Pepy,“ rzecz przerobiona przez p. Feliksa Kwaśniewskiego z bardzo starej i niegdyś grywanej u nas farsy Bayard'a p. t. „Ojciec debiutantki.“ Odegrzana w sosie swojskim (nawet z przymieszką zapachu restauracyi miejscowej), popieprzona obficie kupletami barwy bieżącej i podana na scenie, rozciągniętej aż do orkiestry i po za krzesła widzów, zjednała sobie licznych słuchaczów: jednych dwuznacznikami w śpiewkach, drugich tak zwaną „szopkowatością“ epizodów pojedynczych, wreszcie najwybredniejszych — satyrą, która — oddajmy sprawiedliwość — dość silnie i trafnie szkicuje warunki bytu artystów wędrownych i ich stosunku do dyrektorów, tudzież strony zakulisowe krytyki teatralnej i rdzeń pobudek, skłaniających wielkich sędziów sztuki do wyśrubowywania miernot a chłostania obdarzonych zdolnością i talentem. Bodźce te p. Kw. odważnie wywleka z mętnej głębi popędów samczych.

Najlepiej się udała robota spółki autorskiej, chociaż również pośpieszna: „Wyścig dystansowy“ Klemensa Junosy i Kazimierza Laskowskiego. Nie wiem, jak się wspólnicy podzielili pracą twórczą: ale jednego z nich, Junoszę, można odrazu poznać po charakterystycznych postaciach żydowskich. Drugi, p. Laskowski, jako dobry znawca stosunków i typów wiejskich, zapewne także wlał niemało humoru i pomysłu. Rzecz polega na tem, iż młodzieniec poczciwy chciałby się ożenić z przystojną panną, ale ta stawia mu ciężki warunek: każe wprzódy czemś się odznaczyć. Podczas narady familijnej stryj jego wpadł na szczęśliwą myśl: oto ma się odbyć wyścig dystansowy, w którym synowiec powinien wziąć udział i pierwszą nagrodę. Zaszła tu jednakże przygoda nieprzewidziana: gdy śpiesząc do zapasów przejeżdżał przez wieś, jakaś kobieta z chaty płonącej zawołała rozpaczliwie o ratunek. Chłopiec żywo skoczył w płomienie i ocalił ginącą. Ale w tej chwili pułap się zawalił i koń wyścigowy, osypany iskrami, uciekł. Młodzieniec przybył na miejsce popisów już za późno, zrozpaczony i „zdystansowany,“ ale panna pociesza go, oddaje mu rękę, gdyż odznaczył się bezwiednie dobrocią serca i odwagą.

Czyny bohaterskie na tle pożarów są już znane aż nadto ze starych romansów. Ale autorowie wpletli ten epizod do swojej sztuki bardzo zręcznie, odświeżyli go urozmaiconem zestawieniem scen i wypadków. Słuchając tej sztuki, widz bardziej się interesuje szczegółami, niż samą fabułą. Jest to bowiem właściwie dobra porcya humoru szczerego i swojskiego tudzież garść postaci charakterystycznych. Mamy tam aż czterech żydów, każdy innego temperamentu i usposobienia, a wszyscy wybornie pochwyceni. Z życia są również wzięte typy: szlacheckie tudzież starych panien, wreszcie chłopaka wiejskiego i dziewczyny. Artyści grają bardzo dobrze, bez przesady, prawdziwie. Na szczególną zaś uwagę zasługują pp.: Gloger, Jan Szymborski, Bartoszewski i Kisielewski (żydzi), p. Kopczewski (młodzieniec-bohater), Siedlecki (stary szlachcic), W. Szymborski (stangret) i panna Barska (pokojówka). Ogólną cechą gry artystów trupy łódzkiej w obecnym jej składzie, jest staranność i sumienność.

P.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WYSTAWA LWOWSKA.

Lwów, 20 sierpnia.

Dawniej odbywały się przy końcu roku szkolnego popisy, na których w obecności najwyższych dygnitarzy świeckich i duchownych występowali w odświętnej szacie nauczyciele, uczniowie, cała szkoła; „władze“ świeciły złotymi kołnierzami, duchowni fioletami, a grono nauczycielskie siliło się przedstawić siebie i swoich uczniów w najlepszem świetle. Cały rok uczono dla popisu, który musiał wypaść świetnie. Przysłaniano starannie na ten czas wszystkie braki szkoły; po karkach ciemnej i biednej masy kolegów wybijali się na wierzch „celujący,“ jako najgodniejsi przedstawiciele. O poziomie zaś nauki miały dawać pojęcie z góry wyuczone odpowiedzi uczniów.

Wrażenie takiego uroczystego popisu całej ludności sprawia powszechna wystawa krajowa we Lwowie. Przyznać trzeba, że wygląda ona zewnątrz wspaniale.

Ale jak popisy uczniów nie dawały prawdziwej miary ich rozwoju, tak i ten turniej nie jest obrazem rzeczywistego stanu kraju „Aranżerowie“ umieli zręcznie wysunąć naprzód wszystko, co mamy najpiękniejszego, przystroić Kopciuszka na tę uroczystość w królewskie szaty, a jego rodzeństwo w łachmanach odpędzić od wrót wystawy. W gorliwości pokazania najlepszej strony, posunięto się nawet do kłamstwa, bo wystawiono rzeczy cudze, obłudne, albo takie, jakich z latarką szukać po kraju.

Zewnątrz wygląda nasza wystawa niby łańcuch kiosków i kapliczek, rozłożonych na romantycznem wzgórzu parku stryjskiego. Jednostajność budynków drewnianych, zwłaszcza ciągle się powtarzających wieżyczek, urozmaica tylko kilka budowli: jedyna z kamienia i cegieł, niestety, w dół zepchnięta — to pałac sztuki; obok mauzoleum, mieszczące bogaty zbiór obrazów, studyów i szkiców Matejki, i gmach architektury — kopia świątyni greckiej, pokrywająca wstydliwie goliznę naszego budownictwa, skazującego na marnowanie najlepszych sil architektów.

Największy pawilon zapełnili kupcy, rękodzielnicy, wogóle przemysłowcy, przedstawiający u nas, z małymi wyjątkami, smutny widok. Ściśnięci śrubą podatkową rządu, pozbawieni opieki kraju (to, co robi w tym względzie Wydział krajowy, jest albo niewłaściwe, albo znikome), dźwigają się jak mogą o własnych siłach. Ale wyroby miejscowe, choćby niejednokrotnie wytrzymać mogły porównanie z zagranicznymi, nie znajdują zbytu w kraju. Niema ich w domu, nie widać na miejscach publicznych, można je odszukać chyba na wystawach, gdzie toną wśród towarów obcych. Weźmy np. artystyczny przemysł stolarski w urządzeniach mieszkań, wcale piękny, choć przeważnie na cudzych wzorowany modelach, wyzyskiwany przez „naszych“ kupców, zasypany tandetą wiedeńską, święci prawdziwe tryumfy... na wystawie.

Hala maszyn (zagranicznych) to rak na ciele naszego organizmu. Inne działy przemysłu, nader ubogie w rzeczy najniezbędniejsze do użytku codziennego, tak są porozrzucane, że się trudno zoryentować. Wogóle niewłaściwy rozkład przedmiotów, nierównomierność w stosowaniu podziałów na grupy, należy do grzechów komitetu, organizującego wystawę.

Budynek, poświęcony rolnictwu, podstawie niemal wyłącznej naszego bytu dzisiejszego, zajmuje głównie Towarzystwo gospodarskie razem ze szkołami i instytucyami rolniczemi. Dopełniają je dwie czasowe wystawy bydła, wskazujące pewien postęp w Galicyi; brak tylko należytego ocenienia miejscowych warunków klimatu i gleby. Wytwórczość zbożowa wobec współzawodnictwa zamorskiej nie przedstawia już dziś i dla nas pomyślniejszych widoków, a nawet hodowla bydła, która się w ostatnich czasach dość znacznie podniosła, będzie zniewoloną poprzestać z tej samej przyczyny na gospodarstwie prawie wyłącznie nabiałowem, a w tym zakresie właśnie ruch w kraju i na wystawie bardzo jest słaby. Czasowa wystawa owiec i nierogacizny ujawniła przerażający upadek chowu owiec w Galicyi, znowu z powodu zbyt ciężkiego do pokonania współzawodnictwa z wełną zagraniczną.

Wystawa gospodarstwa leśnego daje nam przykład, jak gospodarują u nas szwabi (np. państwo Skole), kopalnie soli i fabrykacya tytoniu — jakie dochody z monopolów ciągnie rząd austryacki w „kraju niedźwiedzi,“ a wiercenia nafty malują wyzysk i nędzę w Kalifornii żydowstwa.

Znamionującym nasze stosunki jest także salon pracy kobiet, który wykazuje, ile sił, czasu i pieniędzy marnują nasze „panie“ na wyroby zbytkowe, kiedy ich siostrzyce w Chrystusie nie mają chleba dla siebie, ani dla swych dzieci. Damy, zajmujące się urządzeniem tego działu, nie wiedzą, zdaje się, o istnieniu kwestyi kobiecej, nie znają nawet najsłynniejszych autorek polskich po za Klementyną z Tańskich Hofmanową i zwolenniczkami jej kierunku. Całą ścianę frontową zajmuje prawie niepodzielnie pensyonat dla dziewcząt z „lepszego domu,“ starający się dogodzić potrzebom wieku dzisiejszego, o ile one nie zostają w sprzeczności ze staropolskiemi cnotami gosposi, żony i matki...

Oto, jak się przedstawia mniej więcej pochwycona z lotu ptaka całość wystawy powszechnej. Wiele w niej blagi, ale też nie mało pożytku.

Prawdzicki.

MEDYCYNA DLA KOBIET.

Ze wszystkich zawodów, które kobieta zdobywa przebojem, najsilniej przez ród męzki oszańcowana jest medycyna. Broni jej nietylko armia lekarzy (chociaż śród nich bywają odstępcy), ale nawet tłumy ochotników, z rożnych sfer i zakresów. „Lekarka—to istotna zdemoralizowana, wyzuta z zasadniczych cech kobiecości, cyniczna, zasługująca na zupełne wykreślenie z „towarzystwa porządnego." Jeżeli los chce jaką rodzinę doświadczyć, to jej ześle „kursistkę" — największe nieszczęście, której się należy wstydzić, jak córki wyrodnej. Dziewczęta starannie wychowywane, niech zdala będą od takich ognisk napiętnowanych; niechaj na oblicza niewinne nie padnie wzrok *doktorki.*" Tak wołają obrońcy „zasad moralnych" i kojca domowego.

Obecnie roje szerszeni i trutniów zabrzęczały głośniej niż kiedykolwiek, poruszone gryzącym dymem kwestyi, na nowo rozgrzanej za pośrednictwem zamierzonego wskrzeszenia Instytutu medycyny dla kobiet w Petersburgu. Wytoczono wszelkiego kalibru i systemu działa, nawet zardzewiałe i zagwożdżone, zapalono pośpiesznie lonty, aby zasypać „zuchwałe" kartaczami morałów, pogróżek, wniosków i — cyfr. Za przednią strażą moralistów idą szeregi, walczące o dobro kuchni, przynajmniej bez obłudy i masek; za nimi — rycerze zdrowia niewieściego, troskliwi o zachowanie systemu hodowli, dostarczającej w dobrym gatunku „materyału na żonę," tj. taką towarzyszkę życia, która pilnując skwapliwie garnków, rondli, drobiu, kłócąc się od rana do nocy ze sługą, przyrządzając smakołyki mężusiowi, pozwala mu rozpostrzeć nad gniazdem skrzydła patryarchalne, zaprzątnąć kapłankę ogniskiem domowem tak dalece, iżby rękojmia jego nieskazitelności dała małżonkowi możność odświeżania i urozmaicania wrażeń w zdrojach niezbyt czystych, z błogą pewnością, że sumienie, wyprane w cnocie domowej, spać będzie spokojnie. Dalej jeszcze idą hufce ponure ze sztandarem bytu ekonomicznego.

Wszystkie okrzyki tych rycerzy, walczących nie o niewiastę, lecz z niewiastą, pod rozmaitemi hasłami zlewają się w jeden akord interesu osobistego i dążności samolubnych. „Chcecie nam chleb odebrać! — wołają jedni. „Szalone, dajcie pokój! Zbyt słaby wasz organizm legnie pod ciężarem zadań!" — ostrzegają inni. A ile sofizmatów, fałszu i płytkości w dowodzeniach! Oto jeden z głosów, chłodzących zapał kandydatek do zawodu lekarskiego: „Kursy, istniejące dawniej około lat dziesięciu, uzdolniły przeszło 500 kobiet. Wszakże z całej tej gromady ani jedna nie zdobyła sławy i wziętości, pomimo że wiele z nich świetnie skończyło nauki, a dwie z zapałem broniły rozpraw doktorskich. Sądzimy, iż przyczyną tego jest niezdolność kobiet wogóle do zawodu lekarskiego. Trudno zaprzeczyć, iż głównym warunkiem leczenia skutecznego jest dokładna diagnoza. Jeżeli mężczyzna często się myli, to kobieta tembardziej. Z natury swojej poddaje się ona łatwo pierwszemu wrażeniu i wszelkim czynnikom subjektywnym. Wobec tego tylko w razach wyjątkowych lekarka może odgadnąć chorobę i jej przyczyny. W znacznej zaś większości popełnia ona zgubne omyłki: Jest także gałąź medycyny, której kobieta nawet tknąć nie powinna: chirurgia."

W tym gwarze wrogo usposobionego odłamu społeczeństwa biorą udział także kobiety-pacyentki. Czy z braku zaufania do lekarek? Tak by się pozornie zdawało, bo szukają one porady u mężczyzn, nawet w takich wypadkach, gdy w pobliżu jest zdolna i sumienna specyalistka. Zajrzyjmy jednak głębiej do istotnych pobudek i przyczyn. Zazwyczaj okres porad zaczyna się po zamążpójściu, bo i w naszem społeczeństwie dzieje się to samo, co stwierdził gdzieindziej lekarz amerykański, dr. E. Nöggherath: mężatki padają ofiarą chorób chronicznych, przekazanych im w spuściznie życia kawalerskiego mężów. Ale obok cierpień fizycznych, rozwija się znieprawienie duchowo - płciowe, udzielone również przez towarzysza dozgonnego, który mając instynkty zwyrodnione i wybujałe, potrafi nawet czystą duszę dziewiczą przesycić bezwiednym cynizmem. Nazywamy to wszystko nerwowością, ale ta nerwowość na tle małżeństwa miewa podejrzane odcienie i mętne źródła. Wyrafinowanie płciowe ujawnia się w formie mniej lub więcej estetycznej i wyradza flirt w przeróżnych postaciach. Gabinety lekarzy-specyalistów to także podścielisko flirtu swego rodzaju, ale spoczywającego w bodźcach najniższych. Jeżeli małżeństwo częstokroć daje kobiecie zarodki cynizmu, to owe gabinety podnoszą go do najwyższej potęgi. „Szanowni" konsyliarze, „zacni" ojcowie rodzin, łysi i siwi, czasem nawet filantropi, ofiarowujący kuracyę bezpłatną młodym niezamożnym mężatkom, usilnie nacierają na godność kobiety, która oszołomiona pozorami gorliwego leczenia, nie czuje nawet zniewagi, spadającej na nią w postaci brutalnej pożądliwości jej „dobroczyńcy." I oto, taka pacyentka chociaż wychodzi zwycięzko i nie upada w zakresie zobowiązań małżeńskich, wnosi jednakże do swego umysłu i duszy pierwiastki wyuzdania, może nawet nieświadomie, ale działające rozkładowo na nerwy i te instynkty moralne, które stanowią ochronę jej istoty, jako człowieka.

Po za tem istnieją rzesze kobiet innego typu o rozwiniętem poczuciu wstydu tak dalece, że nawet groza śmierci nie potrafi go stłumić. Znane są fakty, że chore wpadały w niemoc nieuleczalną lub umierały jedynie z powodu ślepego wzdragania się przed pomocą lekarską mężczyzn. (Nie mówimy tu o wypadkach porodowych, gdzie gwałtowny ratunek nosi zupełnie odrębny charakter). Gdybyśmy zapytali ogółu oświeconego, skąd powstały te dwa odmienne typy kobiet: jednych uprawiających nawet z odcieniem zamiłowania, kuracye u mężczyzn, drugich, czujących nieprzezwyciężony wstręt do niej — wskazanoby nam wychowanie. Być może, iż w niem tkwi istotnie podkład tych objawów, ale działają tutaj także zasadnicze cechy natury niewieściej. „Wrodzona wstydliwość" w pewnych warunkach ulega zupełnej zagładzie, ale w normalnej kobiecie, mniej lub więcej wybujała, stanowi rys jej człowieczeństwa, którego bezkarnie lekceważyć nie można. To są czynniki moralne, których nie dostrzegają gromady, występujące zażarcie przeciwko dopuszczeniu kobiet do medycyny; a ci wszyscy, zaniepokojeni o nieskazitelność ogniska domowego, nie wiedzą, że ono bardziej jest zagrożone przez chronicznie cierpiącą pacyentkę niż lekarkę. Zresztą znamy mnóstwo faktów niedokładnego leczenia przez mężczyzn jedynie dla tego, iż rzetelnemu zbadaniu chorej częstokroć stoi na przeszkodzie jej wstydliwość, niedająca się przełamać ani siłą logiki, ani grozą niebezpieczeństwa.

Czy wogóle kobieta potrafi pracować pożytecznie na owem polu i czy jej pozwoli na to natura miękka i organizm słaby? — niechaj na to odpowie życie. W ostatnich czasach lekarka dotarła do rodzin muzułmańskich w Turkestanie, gdzie przedtem potworne znachorstwo panowało niepodzielnie. Od chwili, gdy tam weszła kobieta specyalistka, powstały osobne ambulatorya niewieście i dziecięce. W okresie 1884—1889 instytucye takie, utworzone w Taszkencie, Chodżencie, Kokandzie, Andiżanie, Margelanie i Samarkandzie, wydały świetne rezultaty. Mahometanki zaś, przekonawszy się o zbawiennych skutkach medycyny, całkowicie jej zaufały. Szerzycielki zdrowia, obok ratowania chorych, zaszczepiają zasady hygieny i czystości, co oczywiście ma wogóle większe znaczenie, niżeli pomoc doraźna, gdyż 50% kobiet przychodzi z cierpieniami skóry, wynikłemi z nieczystości. Do ambulatoryum andiżańskiego zgłosiło się 1887 r. 3,000 chorych, w roku zaś 1891 liczba ich wzrosła do 6,000. Wobec tak pomyślnych wyników postanowiono pomoc lekarską rozwinąć szerzej, tj. ambulatorya połączyć ze szpitalami. W stosunku atoli do płodności pracy kobiecej w tych odległych krainach, warunki materyalne są skromne. Owe lekarki — to wolne najemnice, pobierające 600—800 rs. płacy rocznej, bez żadnego zabezpieczenia przyszłości, a więc gorzej są postawione, niżeli akuszerki o mniejszym zakresie uzdolnienia i wiedzy. Zaznaczyć przytem musimy znamienny rys zjawisk ekonomicznych: pracownica wolnonajemna, jeżeli zamężna, bardziej jest poszukiwana, gdyż wspólnie pracując na utrzymanie ze swoim towarzyszem życia, staje się skłonniejszą do ustępstw, niż kobieta wolna, opierająca istnienie materyalne jedynie na własnej pracy.

Szczegóły powyższe dowodzą, że lekarki nietylko potrafią owocnie pracować, ale umieją znosić wielkie trudy. Niejednemu mężczyźnie dreszcz przebiega po skórze na myśl o pustych i dzikich obszarach azyatyckich, gdy mu proponują tam praktykę lekarską. Kobieta jedzie bez wahania, przystosowywa się do zupełnie obcych, częstokroć wrogich warunków klimatycznych, ekonomicznych i kulturalnych.

Wspaniałomyślni wołają: „Jeżeli tak gwałtownie pożądacie medycyny, to przynajmniej poprzestańcie na małem: leczcie dolegliwości, właściwe swojej płci i bądźcie zdala od chirurgii." Tymczasem w powyższej gałęzi umiejętności lekarskiej są szczegóły, bardzo harmonizujące z naturą niewieścią, mianowicie tam, gdzie jest niezbędna cierpliwość i zręczność; weźmy np. dział chirurgiczny w chorobach oczu. Niedawno, jak wiemy, władze ministeryalne zwróciły uwagę na rozwój cierpienia wzroku śród mas ludności ubogiej i nieukształconej. Skutkiem tego obok wielu środków zaradczych postanowiono oftalmologię zaliczyć do głównych przedmiotów wykładowych na kursach medycznych tudzież wogóle zapowiedziano szereg ułatwień dla specyalizowania się w tej dziedzinie. Zdarza się to w chwili, gdy są rozstrzygane losy Instytutu medycznego dla kobiet, gdy jego program jest naszkicowany w głównych zarysach, a więc można go rozszerzać i uzupełniać bez wszelkich trudności. Miejmy zatem nadzieję, że do jego zakresu wejdzie także oftalmologia. Cierpienia oczu śród warstw ubogich rozwijają się na tle niechlujstwa i zupełnego niedbalstwa. Tam więc, gdzie lekarz chłodno bada samą tylko chorobę i pisze recepty, kobieta potrafiłaby natchnąć pacyentów zamiłowaniem czystości; z natury swego charakteru i usposobienia łatwiej ogarnęłaby warunki otaczające i, o ile można, starałaby się usunąć przedewszystkiem przyczynę, a potem chorobę. Z tych samych względów należy ułatwić kobiecie szeroką działalność w dziedzinie chorób dziecięcych.

Ten ostatni dział już umieszczono w zarysach programu. Zadaniem Instytutu będzie przedewszystkiem przysposabianie specyalistek w zakresie akuszeryi, chorób kobiet i dzieci. Kandydatki muszą przedstawić patent dojrzałości lub złożyć egzamin odpowiedni. Po czteroletnich studyach obowiązuje nadto praktyka w szpitalu od roku do trzech lat, poczem wychowanki otrzymują tytuł „kobiety-lekarza" i prawa

następujące: zupełne równouprawnienie z lekarzami wolnopraktykującymi, dostęp do urzędów w zakładach naukowych, szpitalach itd., ale bez przywilejów służby państwowej, prawo zarządzania okręgami lekarskimi ziemskimi tudzież w ich obrębie szpitalami i lecznicami.

Lekarze mężczyźni powinni być zupełnie spokojni o swoje istnienie materyalne, nie podkopią go ani zrujnują współzawodniczki. Zajmą one bowiem tylko te placówki, któremi tamci pogardzili i tem samem oddadzą nieocenione usługi społeczeństwu. (Jedynie chyba tylko powitają je niechętnie niektórzy specyaliści wielkomiejscy). Szerokie obszary państwa po za głównemi ogniskami życia są zupełnie upośledzone pod względem pomocy i opieki lekarskiej. Przeciętne dane wykazują stan rzeczy trudny do uwierzenia, a jednak prawdziwy. Zwyczajnie na *sześć tysięcy* mieszkańców przypada *jeden* lekarz; są zaś takie miejscowości, gdzie jeden wypada na *sto dwadzieścia tysięcy!* Jakiejże więc jeszcze masy pracowników brakuje do rozmieszczenia śród mieszkańców, pozbawionych pomocy, w stosunku zupełnie odpowiadającym potrzebie! Doświadczenie dowiodło, że kobiety nietylko się nie boją prowincyi, ale wędrują za chlebem na kraj świata, na trud i znój, przed którymi cofa się mężczyzna silny i młody.

Zenon Pietkiewicz.

PAMIĘTNIK.

Ruch naukowy.

Sprawozdanie o nagrodach im. Jakóba Natansona, wyznaczonych przez kasę imienia Mianowskiego, zawiera poniekąd charakterystykę części ruchu naukowego u nas w ostatniem czteroleciu, t. j. od 1 stycznia 1889 roku do 1 stycznia 1892 r. Z działu nauk lekarskich komitet wziął pod rozwagę, zgodnie z duchem zapisu, jedynie prace teoretyczne z zakresu biologii, pominął zaś rozprawy najliczniejsze i najważniejsze z medycyny praktycznej. Oceniane były twory następujących autorów: Biernackiego, Ciąglińskiego, Elsenberga, Hołowińskiego, Jakowskiego, Janowskiego, Kamockiego, Kuczyńskiego, Muttermilcha, Ruperta, J. W. Sawickiego i J. Zawadzkiego. Z tych wszystkich szczególną zwrócono uwagę na prace Biernackiego. Z działu nauk przyrodniczych, zoologia i mineralogia miały wydatniejszych przedstawicieli niż z zakresu botaniki. W dziedzinie nauk embryologicznych wyróżniono szereg prac d-ra zool. Józefa Nussbauma (najważniejsza: „Przyczynek do embryologii maika“). Z zoologii systematycznej na wzmiankę zasłużyły, jako obejmujące sumiennie opracowane grupy zwierzęce, dotąd nie badane w kraju: pp. A. Wałeckiego, Ig. Lindenfelda, I. Pietruszyńskiego, A. Landego tudzież z działu badań nad pierwotniakami R. Dmowskiego. Z mineralogii prace: I. Morozewicza i St. Kontkiewicza. Z botaniki były oceniane i uwzględniane rzeczy o florystyce krajowej: K. Drymmera, Fr. Błońskiego, F. Kwiecińskiego i B. Eichlera. Z fizyki doświadczalnej ogłosili pp. Józef Jerzy Roguski i Henr. Merczyng „prace godne uwagi, ale mniej rozległego zakresu.“ Z matematyki i fizyki teoretycznej wysoką wartość naukową przyznano pracom p. J. Samuela Dicksteina, Kazimierza Żórawskiego i Władysława Natansona; szczególną zaś zwrócił uwagę ten ostatni, jako pracownik na polu fizyki teoretycznej. Z zakresu filozofii i pedagogiki wyróżniono dwa główne dzieła autorów, odpowiadających warunkom konkursu: „O logice Platona“ W. Lutosławskiego i „Naukę o rzeczach“ J. Wł. Dawida. Z dziedziny prawa poddano ocenie kilka prac pomniejszych, nie pozbawionych zalet: pp. Edmunda Dylewskiego, Ludomira Taraszkiewicza, Stanisława Libickiego, Juliana Szenmana, Filipa Flamma. Ze sfery nauk społecznych, oprócz prac o charakterze publicystycznym (Ad. Suligowskiego), uwydatniono dzieła: Witolda Załęskiego: „Zasady ekonomiki“, Zygmunta Heryngа: „Rubel“, szczególnie zaś Jana Blocha: „Ziemia i jej odłużenie.“ Z niwy historycznej drobna tylko cząstka uprawiana była przez autorów, odpowiadających warunkom konkursowym. Do wybitniejszych zaliczono dzieła: Adolfa Pawińskiego: „Ostatnia księżna mazowiecka“ i „Młodość Zygmunta Starego“; Władysława Smoleńskiego: „Przewrót umysłowy w Polsce w XVIII“; Aleksandra Kraushara: „Dzieje Krzysztofa Arciszewskiego.“ Na polu badań nad językoznawstwem, dziejami, piśmiennictwem i etnografią, ukazał się dość znaczny szereg prac, ogłoszonych w czasopismach i osobno: Korbuta, Gostomskiego, J. Kotarbińskiego, Br. Chlebowskiego, Ign. Chrzanowskiego, Ferd. Hösika, Mich. Rowińskiego, Ed. Porębowicza i L. Krzywickiego. Jak wiadomo, nagrody przeszło po 3000 rs. przyznano: Krzywickiemu i Natansonowi. Taki jest z ubiegłego czterolecia nasz dorobek naukowy w dziedzinach, podlegających ocenie kasy im. Mianowskiego. Ruch ten zaznacza się dość słabo, nagrody znaczne należą do rzadkich wypadków, a wzmianki powyższej instytucyi chyba nie mogą być dostatecznym bodźcem do samodzielnego i szerokiego rozwoju działalności produkcyjnej. W szeregu prac, rozpatrywanych przez komitet Kasy, widzimy i takie, które, powiedzmy otwarcie, wielkiego pożytku ogółowi nie przyniosą. Czy atoli dość skromna twórczość w tym zakresie świadczy o braku zdolnych ludzi u nas? — Nie! Mamy ich sporą garstkę, ale prace na polu nauki muszą oni traktować dorywczo, jako zajęcie dodatkowe, niemal zbytek. Poświęcają na to czas, skradziony spoczynkowi i rozrywkom, po za ciężarem obowiązków, podtrzymujących istnienie. Niestety, dotąd jeszcze żaden filantrop, nie uczynił zapisu na zapewnienie stałego utrzymania naszym uczonym i badaczom, którzy mogliby oddać się zupełnie nauce, z korzyścią dla społeczeństwa. Kto wie, czy w takich warunkach nie wypłynęłyby wybitne zdolności i talenty, przygniatane i wyjaławiane obecnie w zarodku ciężkiemi potrzebami życia codziennego.

Rośliny „przemysłowe.“

Pamiętamy liczne i ożywione posiedzenie sekcyi rolnej, na którem bardzo długo rozprawiano o hodowli wszelkich nasion i roślin „przemysłowych.“ Jeden z obecnych przedsiębiorców w tym zakresie opisał w jaskrawych barwach pierwsze swoje kroki na polu uprawy nasion buraczanych. Przyjęty z nieufnością, dużo musiał zużyć energii, zanim zdołał wyrobić klientelę. Niektórzy mniej lub więcej wyraźnie zaznaczyli swą niechęć do wszelkich prób, niedających rękojmi powodzenia. „Wezmę się do rośliny aptekarskiej, a kto mnie zapewni, że znajdę odbiorców w kraju?“ Inni znowu wyrażali swoje obawy co do nadprodukcyi, wówczas gdy nie mamy nawet jednego przedsiębiorcy, któryby zadowolił w małej cząstce aptеki i „laboratorya chemiczne.“ Na tem się skończyło i prawdopodobnie w przyszłym sezonie posiedzeń w braku materyału znowu ten przedmiot przemknie w pogawędkach, albo p. Jeziorański zaproponuje delegacyę, któraby zbadała rzecz „wszechstronnie,“ tj. wypowiedziała kilka zdań nic nie znaczących. Dla tych panów i wogóle dla ludzi, mających do czynienia z rolą, może się przydadzą i będą bodźcem następujące szczegóły. Ministeryum rolnictwa i dóbr państwa wysłało niedawno za granicę dyrektora ogrodu Nikickiego w Moskwie, p. A. Bazarowa, w celu zbadania warunków uprawy roślin lekarskich i innych, służących do wyrabiania olejków wonnych. Według złożonego już sprawozdania delegata, ostatnie z powyżej wymienionych stanowią jedną z ważnych i bardzo zyskownych gałęzi przemysłu we Francyi południowej. W stosunku do rozmiarów produkcyi drugie miejsce zajmują Włochy, gdzie jedna tylko Messyna wytwarza olejków eterowych na znaczną sumę. Dalej, Bulgarya co rok wyrabia olejków różanych 150 pudów, tj. licząc po 500 rs. pud, ma z tego źródła 75,000 rs. dochodu. Anglia wysyła po za swoje granice rocznie około 400 pudów olejków miętowych. Niemcy także dostarczają na rynki międzynarodowe wielką liczbę różnych wyciągów wonnych. Według sprawozdań delegata, we Francyi jedna dziesięcina gruntu, użytego pod rośliny powyższe, przynosi następujące zyski: uprawa róży 700 rs., rezedy 1,557, tuberozy 3,000, jaśminu 3,135 rs. Również świetne dochody dają wyłącznie rośliny lekarskie. W Rosyi dotychczas na większą skalę uprawiane są jedynie: mak i anyż. Tymczasem, dzięki różnorodności klimatycznej i geograficznej, państwo to może wytwarzać wszelkie gatunki roślin przemysłowych i olejków, nietylko dla własnego użytku, ale na wywóz za granicę. Wobec tego ministeryum rolnictwa postanowiło przedsięwziąć szerokie doświadczenia. W Moskwie już nawet założono w ogrodzie Nikickim wielkie plantacye róż i innych roślin wonnych, nadto zaprojektowano urządzić także próby w wielu miejscowościach państwa. Stąd jasny wniosek, że organ sterniczy, poświęcony gospodarstwu rolnemu, będzie gorliwie popierał wszelkie usiłowania w tym zakresie; a więc ziemianie nasi powinni skorzystać ze sposobności i na swoich posiedzeniach nie traktować tego przedmiotu, jako punktu porządku dziennego do zepchnięcia. Jeżeli p. Jeziorański nie wyczerpał jeszcze całkowicie parcelacyi i dewastacyi, to może przy tych kwestyach, zajmujących przez cały rok większą część zebrań, zechce wyznaczyć choćiaż skromny kącik dla rzetelnego rozpatrzenia warunków hodowli roślin przemysłowych w kraju. Na pomoc organu ministeryalnego można liczyć tylko w takim razie, jeżeli referaty nie będą zawierać steku czczych słów i ogólników, lecz jasno przedstawiony i poparty szeregiem danych obraz możliwego stworzenia i rozwoju nowej gałęzi gospodarstwa; wreszcie — jeżeli hodowcy wezmą się niezwłocznie i stanowczo do tych robót, któreby stworzyły podkład dla nowych działów przemysłu przetwórczego.

Bez dymu.

W Petersburgu przed paru tygodniami wobec sześciu ministrów i kilku techników odbyły się próby aparatu, spalającego dym w kominie parostatkowym. Przyrząd ten, wynaleziony przez p. Chlebnikowa, podobno działa świetnie, tak dalece, że już wkrótce będzie obowiązkowo z nakazu władzy zastosowany do wszelkich kominów parostatkowych, kolejowych i fabrycznych. Tym sposobem wielkie siedliska przemysłowe zmienią swoją ponurą fizyognomię; gmachy zakładów i wszystkie budowle sąsiednie nie będą wyglądać żałobnie, a widnokrąg wiecznie zasnuty chmurami dymu, rozjaśni się. Ale nie na tem polega doniosłość wynalazku. Chodzi tu głównie o zdrowie mieszkańców, skupionych w miejscowościach przemysłowych. Lekarze już niejednokrotnie stwierdzili zabójcze działanie dymu na organizm ludzki i nawet, pamiętamy, przed paru laty podano projekt wznoszenia kominów na domach parterowych i jedno-piętrowych do takiej wysokości, iżby mieszkańcy gór-

nych pięter w sąsiednich kamienicach nie cierpieli. Nie znamy jeszcze urządzenia aparatu; o ile wszakże wnosić możemy, będzie on jednocześnie pochłaniaczem iskier, a więc zbawienność jego sięgnie jeszcze dalej; ochroni bowiem miliony mieszkańców od klęsk ogniowych, wynikających z iskier fabryk i parowozów.

Kolonie letnie.

Pomieszczamy głos poniższy w tej nadziei, że zwróci on uwagę kierowników instytucyi, cieszącej się u nas ogólnem uznaniem i sympatyą. Samo wysyłanie dziatwy na wieś nie jest jeszcze dziełem ostatecznem i właściwie najtrudniejsza część zadania — to dozór i warunki pobytu na świeżem powietrzu. Dając miejsce dość ostro brzmiącym słowom p. P., nie mamy na myśli potępiania organizacyi, lecz tylko jej udoskonalenie. Dążność do pokrzepienia nadwątlonych i zrujnowanych sił ludzkich, już sama przez się, jako idea, zasługuje na szczere poparcie i uznanie. Ale jednocześnie wskazywanie braków powinno być obowiązkiem społecznym.

„Zdawałoby się, że dzieci, wysyłane na kolonie letnie, znajdują tam nietylko warunki nawskróś hygieniczne, ale co więcej, przez życie ich ciągnie się nieprzerwane pasmo (rozumie się w okresie czterotygodniowym) radości, zadowolenia i szczęścia, co znów powinno pokrzepić zdrowie i podnieść sprawność młodych organizmów. Jednakże tak nie jest, a dowiadujemy się o tem z dzienniczka dozorczyni, którego wyjątki drukował *Kuryer warszawski*.

Między innemi czytamy: „Nie dopisuje nam pogoda. Deszcz! a dzieci duszą się w ciemnych pokojach, przeznaczonych również i na sypialnie.“ Pod d. 18 czerwca p. dozorczyni kreśli: „Deszcze i deszcze ! To też nudy na koloniach. Pobyt w dusznych pokojach denerwuje dziewczynki i tak dostatecznie, a nawet zbytnio nerwowe. Dziś w nocy budzi mnie wołanie: Proszę pani! siostra moja nie oddycha! Przybiegam przerażona, badam puls, oddech; wszystko w porządku. Za chwilę znów to samo: Proszę pani! siostra moja nie oddycha! Pokazało się, iż starsza dziewczynka, bardzo nerwowa, budziła się w nocy i wpatrywała się w młodszą, dopóki jej nie obudziła. Ostatecznie ze znużenia, z niewyspania i gorąca przychodziły im do głowy najniemożliwsze przywidzenia.“ Takie więc nam rzeczy opowiada p. dozorczyni; a wiem coś o tem, że nie jest to fakt odosobniony, że nie należy do wyjątków ciasnota mieszkań, dochodząca do tego stopnia, iż dzieci literalnie nie mają przejścia, aby się dostać do swych łóżek.

Żałować więc trzeba, że zarząd nie stara się o to, jako o jeden z zasadniczych warunków hygieny, aby dzieci miały pomieszczenie obszerne z dostateczną ilością czystego powietrza.

Dalej pisze dozorczyni: „Niewiele dzieci na koloniach letnich odczuwa wdzięczność dla swych dobroczyńców. Niektóre mówią, że wszystko, co tu mają, jest dla nich za mało dobre. (Zgodzę się z niemi, że stan powietrza w mieszkaniu, jak również i temperatura, na tle której powstają różne „przywidzenia,“ nie mogą uchodzić za zbyt dobre — *przyp. autora*). Opowiadają niestworzone rzeczy o dostatkach w domu (wszystko to dzieci ostatniej nędzy), o strojach swych itp. Zauważyliśmy, że na takie pyszałkowate natury najskuteczniej (?) działa szyderstwo (!). Niektóre wreszcie obliczają swoim rozumkiem, co ich utrzymanie kosztuje i są wdzięczne koloniom. Ale to wyjątki.“

Szkoda tylko, że p. dozorczyni posługuje się w powyższych wypadkach jako środkiem wychowawczym, szyderstwem względem dzieci, do czego się sama dobrodusznie przyznaje, nie wiedząc zapewne, że ten czynnik pedagogiczny danego osobnika nie poprawia, ale, przeciwnie, psuje, robi skrytym, rodzi nieufność i nienawiść u dzieci do osób, posługujących się takim środkiem poskramiającym. O tem, iż dozorczyni nie posiada zmysłu przewodniczki, przekonywa mię chociażby znalezione w dzienniczku zdanie: „Zapoznajemy się z dziewczynkami coraz lepiej. Rozpuszczone to, bo rozpuszczone: jedne mają przywilej zyskiwania sobie wszystkich odrazu, inne znów odpychają od pierwszego wejrzenia. Do dzieci szczęśliwszych, uprzywilejowanych od natury umiejętnością zjednywania sobie serc obcych, należą np. Marteczka R. lub Anielka C. Marteczka jest w ciągłym ruchu. Zganić ją (za co? za ten ruch?), to patrzy tak poczciwie, że z oczu jej wyczytać odrazu można żal za przewinienie.“ Więc skłonność do częstego żalu i wyrzutu sumienia u dzieci, przy lada sposobności i skarceniu p. dozorczyni uważa jako objaw pomyślny; a jednakże stan ten już jest dowodem organizacyi chorobliwej i jeżeli będziemy go wywoływać dość często, to wzmożemy tylko rozstrój fizyczny. Dalej czytamy: „Za to Polcia R. jest chodzącem Marteczki przeciwieństwem: dzieciak to fałszywy. Już w drodze chciała mnie sobie zjednać pochlebstwem. Próżna jest niesłychanie. Ma palec krzywy, więc go w szmatkę zawija i chowa za siebie.“ Muszę zwrócić tu p. dozorczyni uwagę na to, że powinniśmy garnąć do siebie także i istoty mniej od natury uprzywilejowane, a nawet, jeżeli o to chodzi, to zasadę takiego garnięcia powinniśmy więcej zastosować do upośledzonych.

Jeżeli twórcy i kierownicy kolonij myślą, że dopomagają jakiejś poważniejszej sprawie, to powiem otwarcie, że to jest urojeniem. Dzieci są wysyłane na cztery tygodnie (bez szansy korzystania z tego dobrodziejstwa w roku następnym). Nie mam podstaw do wniosku, że najkorzystniejsze warunki w życiu człowieka (w okresie jego dzieciństwa), trwające zaledwie 28 dni, mogą okazać jakiś dodatni wpływ na wzrost i budowę organizmu, a kto twierdzi inaczej, ten musi być w sprzeczności z zasadami biologii.

Kolonie letnie przypominają mi hodowcę-prostaczka, któremu zdawałoby się, że pomógł wzrostowi rośliny, trzymając ją przez kilka godzin w żyznej ziemi, aby później umieścić na długo w gruncie jałowym.

Aleksander Piotrowski.“

W DALI.

Dąbrowa Górnicza. Cholera zaczyna trapić ogniska przemysłowo-fabryczne. Według sprawozdań urzędowych, w Będzinie umiera 20—30 dziennie, przeważnie z ludności żydowskiej i robotniczej. Na ogólną liczbę mieszkańców 8,000, cyfra śmiertelności jest olbrzymia. Z początku trudno było obliczyć rozmiary epidemii, gdyż żydzi starannie ją ukrywali i tym sposobem przyczynili się do szybszego jej rozwoju. Obecnie ci sami wrogowie środków sanitarnych uciekają z miejscowości zarażonej, pomimo przeciwdziałania władzy. Taką drogą cholera łatwo i szybko może się rozszerzyć w okolicy. W samej Dąbrowie jeszcze tej klęski niema, ale można ją uważać za nieuniknioną wobec przyjaznego gruntu, który tak wygląda, według korespondenta *Gazety polskiej*: „Prawie w całej Dąbrowie woda znajduje się bardzo blizko powierzchni ziemi, skutkiem tego rzadko który dom posiada piwnice, wilgoć więc mamy prawie we wszystkich mieszkaniach parterowych, a nierzadko i na piętrze. W szczególnie złych warunkach pod tym względem są małe domki Towarzystwa francusko-włoskie, położone w najniższej części Dąbrowy, a zamieszkałe przez robotników kopalnianych. Rozumie się, że górnik, który połowę życia spędza pod ziemią, drugą zaś w piwnicznej atmosferze ciasnego mieszkania, nie może posiadać zbyt wiele odporności na wszelkie, nawet nieepidemiczne choroby. Reszta domów, budowanych, a właściwie lepionych na spekulacyę i to źle zrozumianą, znajduje się również w fatalnych warunkach; mury nadzwyczaj cienkie, cieńsze, niż wymagają przepisy policyjne — żadnych zabezpieczeń od wilgoci, wreszcie niezależny od nikogo brak dobrej wody, musi źle wpływać na ogólną zdrowotność miejscowości. Wogóle należy dojść do przekonania, że w Dąbrowie zupełnie nikomu nie zależy na poprawieniu niemożliwych i bodaj nigdzie nie spotykanych warunków, w jakich zdrowie nasze tutaj się znajduje.“ Miejscowość fabryczna, licząca około 20 tysięcy mieszkańców, posiada zaledwie trzy łazienki. — Zarząd kolei Dąbrowskiej wyjednał rs. 31,280 na powiększenie stacyj Dąbrowa i Miechów.

Lublin. Dyrektor gimnazyum męzkiego ogłasza, że po rozszerzeniu internatu z początkiem przyszłego roku szkolnego, wszystkie prywatne mieszkania dla uczniów będą zamknięte. Kto nie ma rodziców w mieście, obowiązkowo musi zamieszkać w lokalu szkolnym. — Z powodu zawiadomienia lekarza kolei Nadwiślańskiej, iż we wsi Rozsosz cholera szybko się zwiększa, zarząd polecił najbliższą stacyę Ryki zamknąć dla ruchu pasażerskiego, podróżnych zaś, do tego miejsca jadących, zwracać do Iwangrodu i Leopoldowa, gdzie ustanowiono osobny nadzór. — Straty, spowodowane w gub. lubelskiej przez nawałnicę w d. 15 r. b. według urzędowych danych tak się przedstawiają: Krzeszów, Huta Krzeszowska, Kocudza i Sol, straty wynoszą poważną sumę rs. 230,980. W pow. zamojskim: w Zamościu, Szczebrzeszynie, w gm.: Wysokie, Goraj, Zamość, Skierbieszów, Sułów, Suchowola i Frampol — 855,816 rs. Zasiewy zniszczone na przestrzeni 50,000 mor. W pow. chełmskim, w osadzie Wojsławice, oraz w 16 wsiach gm. Wojsławice rs. 82,540. Zboże zniszczone na przestrzeni przeszło 30,000 morgów. — W Krasnymstawie czynione są obecnie zabiegi o otwarcie progimnazyum realnego. Projekt ten — jak donosi *Kuryer warszawski* — doznał żywego poparcia ze strony obywateli miejskich i okolicznych, ponieważ Krasnystaw nie posiada żadnego zakładu naukowego średniego, najbliższe zaś gimnazya i progimnazya znajdują się w Lublinie, Chełmie i Zamościu, lecz z powodu ograniczonej liczby miejsc w każdej klasie, szkoły w tych miastach służą prawie wyłącznie dla ludności miejscowej. Skutkiem tego młodzież z Krasnegostawu mu i być wysyłana do Warszawy, Równa i Włocławka, co pociąga za sobą znaczne koszty i niezamożnych powstrzymuje od kształcenia dzieci.

Łódź. Cholera wznieciła popłoch w mieszkańcach tak dalece, iż znajomi spotykając się na ulicach lub w cukierniach, rąk sobie nie podają z obawy wzajemnego zarażenia się. Strach więc zabił wszelką logikę, ale jest uzasadniony pod jednym względem: gdzie są brudy i nieporządki trudne do usunięcia, tam i walka z epidemią niełatwa. Grupa obywateli i lekarzy, przy pomocy policyi, stara się jednak robić wszystko, co nie przekracza ich sił. Oto jeden szczegół, charakteryzujący warunki zdrowotne: W fabryce, zatrudniającej przeszło 400 robotników, inspektor fabryczny gub. piotrkowskiej, Rykowski, wykrył, iż robotnikom nie dają wody przegotowanej, lecz świeżą ze studni i chłodzą ją lodem do 5° R., dalej, że doktór odwiedza fabrykę raz na tydzień a nie codzień, jak to być powinno w myśl przepisów, wydanych przez urząd gubernialny piotrkowski do spraw fabrycznych. Wobec epidemii inspektor postanowił za powyższe nieporządki pociągnąć właściciela fabryki do odpowiedzialności sądowej.

Mińsk. Otworzone niedawno przy miejscowem Towarzystwie rolniczem „biuro leśne,“ ożywiło się. W ciągu pierwszych sześciu tygodni zamówiono tam sześć planów gospodarstw leśnych w obrębie gubernii na przestrzeni 11,200 dzies. Zamówienia te nadesłano z powiatów: borysowskiego, ihumeńskiego, mozyrskiego, pińskiego i rzeczyckiego.— We wrześniu będzie tu otwarta wystawa ogrodnicza. — Towarzystwo rolnicze otrzymało niedawno wezwanie od zarządzającego oddziałem Banku państwa, aby mu udzielono wiadomości, na jakie produkty i towary przemysłu wiejskiego, oprócz zboża, pożądany jest kredyt. Odpowiedziano na to, iż ziemianie najbardziej wołają o kredyt na zboże jeszcze nieżęte, tj. w czasie, gdy rolnik najwięcej potrzebuje gotówki. Kredyt taki, wobec przymusowego ubezpieczenia od gradobicia (w przyszłości) nie przedstawia ryzyka dla Banku. Co do innych produktów, rada Towarzystwa ułożyła następującą listę przedmiotów, na które udzielanie pożyczek przez oddziały Banku państwa byłoby pożądane: spirytus, krochmal tudzież przetwory z niego, oleje wszelkiego rodzaju, bydło tuczone, trzoda chlewna i owce sprzedawane na rzeź, produkty gospodarstwa mlecznego, drzewo budulcowe i opałowe, wyroby z drzewa: koła, wozy, sanie, wyroby bednarskie, dziegieć, smoła, terpentyna itp., cegła, wapno, wyroby

szklane, domowe wełniane i płócienne, mąka i krupy, nawozy sztuczne; gips i mączka kościana, narzędzia i maszyny rolnicze, skóry, wyroby gliniane, tokarskie, stolarskie, koszykarskie, wreszcie z zakresu pszczelnictwa miód i wosk. Rada Towarzystwa rolniczego zaznacza dalej, że bardzo byłoby pożądanem, aby wszelkie sprawy, dotyczące wydawania pożyczek przez oddziały Banku państwa, były rozstrzygane na miejscu i nie szły do władzy najwyższej, gdyż to ogromnie opóźniałoby chwilę udzielania pożyczki. Dla zasięgnięcia danych co do odpowiedzialności dłużników, miński np. oddział Banku państwa mógłby się zwracać do Towarzystwa miejscowego, które zawsze udzieli jaknajściślejszych wiadomości o każdym ze swych członków.

Moskwa. W okolicy miasta powstanie specyalna szkoła dla nauki wznoszenia budowli z materyałów, niepodlegających łatwo spaleniu, Ministerya skarbu i oświaty wyznaczają na ten cel 800 rs. Projekt opracował p. Bader. Do szkoły mają być przyjmowani włościanie dorośli, szczególnie wysyłani przez ziemstwa. W zakres nauki wejdzie budownictwo różnych typów, ażeby tym sposobem uzdolnieni specyaliści, odpowiednio do warunków danej miejscowości, mogli umiejętnie roboty prowadzić.

O PRAWDĘ.

Z powodu „Zboczeń ekonomicznych."

I.

Kraj nasz rolniczy przechodzi ciężkie czasy skutkiem zastoju w handlu zboża; dlatego też wszelkie uwagi w przedmiocie „Zboczeń ekonomicznych" są obecnie więcej niż pożądane. Jestem zwyczajnym ekonomem na folwarku 30-włókowym i prócz 6 klas szkoły realnej, nie skończyłem żadnego zakładu wyższego i nie mam pretensyi do znajomości wyższych zasad i teoryj ekonomicznych; jednakże czuję się w obowiązku dać swoje uwagi (może nie będą słuszne) pod ocenę redakcyi. Na początku artykułu zaraz popełniono błąd wielki, że zwiększenie o $^1/_3$ produkcyi (rozumie się na tej samej przestrzeni — inaczej być nie może), podniesie koszty również o $^1/_3$. Orka, brona, siew, rowy, przegony i bruzdowanie — to są roboty bez względu na rezultat zbiorów. Kośby i wiązania dopełniamy akordowo po cenach stałych, pozostaje zatem zwózka. Jeżeli koszt obróbki całego morga oznaczamy cyfrą rs. 12, a zbiór z niego normalny również 12 kóp zboża, to przy powiększeniu produkcyi o $^1/_3$, czyli o 4 kopy, koszt ma się zwiększyć również o 4 rs.? Kiedy od zwózki płacimy maximum kop. 15, razem kop. 60, koszt zatem zwiększy się zaledwie o $^1/_{20}$: przy podziennej robocie może się podnieść choćby do $^1/_{10}$. Odwrotnie rzecz się ma w odmiennym zupełnie stosunku podczas nieurodzaju, kiedy zamiast 12 kóp zbieramy 7 czy 6. Obróbka morga czyli uprawa i kośba są stałe, pozostaje oszczędność na zwózce, ale jakże mała w porównaniu z niedoborem kóp! Rolnicy, to samolubi najwięksi pod słońcem, żaden z nich tak gorąco nie pragnie zwiększenia produkcyi, jak zwyżki cen, przez proste niezrozumienie osobistego interesu; lepiej przecież zebrać 16 kóp po $1\frac{1}{2}$ korca (=24 korce po 2 rs., co czyni 48 rs.), niż w złym roku 7 kóp zaledwie, po korcu namłotu i sprzedać po 6 rs., wziąwszy razem 42 rs., minus słoma z 9 kóp niedoboru, przez co zmniejszyć się musi ilość inwentarzy i zasiłek ziemi, zniżyć sterkoryzacya i kultura, a tem samem i szacunkowa wartość ziemi.

Szanowny autor, p. Zen. Piet., obwinia nas o psucie maszyn i narzędzi rolniczych; rozmyślnie tego nie czynimy; wszystko ulega zniszczeniu; nie słyszałem jednak nigdy, aby obywatel skutkiem tego bankrutował. Ale jest nowy, bardzo ważny czynnik ujemny w tej sprawie: fabryki naprawiać maszyn nie chcą, zwykle namawiają, żeby wziąć od nich nową, tę zaś przyjmą podług wartości, naturalnie dowolnej: nową dadzą za 100 rs., zepsutą wezmą za 20, a wyreparowana kosztem przypuśćmy 20 rs., idzie w świat za nową po cenie pierwotnej. Transport do Warszawy (bo stamtąd przeważnie ziemianie nabywają narzędzia) i z powrotem, pociąga koszty i stratę czasu do tego stopnia, że wysłana do naprawy żniwiarka lub wygrabiarka może wrócić już po robocie; brak zdolnych i sumiennych mechaników na prowincyi zniewala nas do posługiwania się wszechstronnym kowalem, który w miarę potrzeby bywa nawet strzelcem i weterynarzem, a zwykle tak jest pewnym siebie, że bez miary, ale „na oko" wszystko robi (ja nie mogę odzwyczaić od tej rutyny swego, chociaż sam zaopatrzyłem go w łokieć), najwyżej jeśli mierzy słomką i grubym, spracowanym palcem urywa ją dłużej lub krócej; na kowadle odkuje z podwójną różnicą, aniżeli mierzył, a tu czas nagli, więc zakłada nadwyrężoną czy nową część maszyny, która się trze, tamuje regularny bieg i swoją nieodpowiednią formą rujnuje cały mechanizm. Wysokiej oszczędności nie można przypisywać maszynom; wynajęcie młocarni parowej kosztuje najmniej 30 kop. od korca; nawet po tej cenie trudno dzisiaj dostać; chłop cepami, dając słomę prostą z omłotu, za takież wynagrodzenie młócić będzie. Do najużyteczniejszych urządzeń zaliczamy grabiarkę konną „Tiger"; koszt jej wynosi od 75 (wyrób krajowy) do 90 rs. (amerykańska oryginalna), działać może maximum lat 10. Na umorzenie kosztu rocznie liczą rs. 9 (biorę amerykańską, bo krajowa lat 10 nie przetrwa), robiąc nią przez dni 40 i używając koni na zmianę po rs. 2 parę, oliwę do smarowania oraz naprawę rs. 1, otrzymamy razem rs. 90. Grabić więcej nad 10 morgów (300 pręt.) niepodobna, ze względu na naszą uprawę zagonową, przegony, rowy, częste zawracania i kamienie, a więc przez dni 40 można załatwić się z 400 morgami. Koszt morga wynosi aż 25 kop., kiedy ręcznie uskutecznić to można za 10 do 15 kop. Mowa tu o grabieniu rżyska. Oszczędzamy tylko czas, a nie pieniądze, a my jeszcze nie anglicy. Dzisiaj należy podtrzymywać, o ile się da,! budynki, wspierać je kołkami, na maszyny i narzędzia rolnicze pieniędzy nie wydawać, ale od ust sobie i dzieciom odejmować a kłaść w ziemię, umierzwiać najpierwej obornikiem, kulturować dokładną uprawą, następnie sztucznymi nawozami, a nie jak obecnie czynią odwrotnie — na jałową ziemię kładą superfosfaty, kainit, saletrę chilijską. Gdy umierzwimy dobrze ziemię, kupujmy narzędzia, korzystajmy z ulepszeń i wynalazków, od nauki żądajmy wskazówek, co dodać naszej glebie, czego jej brak, czego potrzebuje przy pewnych warunkach pszenica, żyto, buraki itd. Badajmy stan rzeczy na miejscu, nie stosując się do ogólników, bo w każdej miejscowości inna doza zasiłków ziemi jest potrzebna. Dzisiaj hodujmy jak najwięcej inwentarzy, nie przewracajmy z boku na bok gleby jałowej, pocieszając się nadzieją: „może Bóg urodzi," bo grunt na pastwisko pozostawiony da więcej bez specyalnych wkładów — np. na mordze można śmiało przelatować 6 sztuk owiec, a dochód z wełny minimum rubla za sztukę, po potrąceniu podatku da z morga przeszło 5 rs. na czysto; zimowe zaś utrzymanie owiec z obsługą zapłaci nawóz, przyrost itd., a przy ladajakiej uprawie bez nawozu tenże sam mórg przyniesie minusy.

Mam na uwadze i w myśli te biedne, opuszczone, z lichą ziemią folwarki; o zamożnych, wyższych gospodarstwach niech piszą specyalnie wykształceni agronomowie, mnie zaś Szanowny Redaktor niech wybaczy, że bez odpowiedniego uzdolnienia ośmieliłem się krytykować jego poważny organ; ale jestem tego przekonania, że w życiu społecznem nie sami tylko uczeni i akademicy głos zabierać powinni, ale i prostaczkowie.

Wadą naszej prasy specyalnej, tj. pism rolniczych, jest brak pożytecznych i potrzebnych wiadomości, kiedy prosty ekonom więcej może korzystać z naukowego pisma, jak *Prawda*, niż z popularniejszych, jakiemi być powinny: *Gazeta rolnicza*, traktująca szeroko wszechświatowe rolnictwo, do którego nam daleko, lub *Rolnik i hodowca*, podający sprawozdania z badań laboratoryjnych.

Edm. Kam.

II.

Pierwszy i najważniejszy zarzut p. K., nazwany „błędem wielkim," upada zupełnie, skutkiem mylnego zrozumienia rzeczy. Przedewszystkiem twierdzenia mnie przypisywane, są zdaniem ziemianina, które przytoczyłem, jako wielce charakterystyczne. Nadto, mowa w tym szczególe o warunkach rolnych nie Królestwa Polskiego, lecz prowincyi czarnoziemnych, gdzie gospodarka pod wielu względami zasadniczo się różni. Tam obfitszy urodzaj wymaga większego natężenia pracy, gdyż młócenie odbywa się natychmiast po żniwach lub nawet jednocześnie wprost ze sterty na polu. Wielokrotnie również stwierdzono tam zjawisko, że w latach urodzajnych robotnik jest podwójnie a nawet potrójnie droższym, bo włościanin bardziej wtedy zaprzątnięty zbiorem swoich plonów, gorączkuje się i niepokoi samą myślą, że pierwszy lepszy grad może mu pszenicę wytłuc; a chyba szanowny mój oponent przyzna, że im obfitsze i gęstsze jest zboże, tem więcej ono wymaga żniwiarzy i rąk do młócenia. Otóż chłop na obszarach czarnoziemnych w latach urodzajnych śmielej patrzy w przyszłość, przesadnie oblicza swoje zyski i skutkiem tego żywo zajęty własną gospodarką, niechętnie idzie na zarobek do dworu, pomimo, że mu proponują tak wysoką płacę, o jakiej najemnik w Królestwie nigdy nie słyszał. Znam nawet wypadki, które tutaj mogą uchodzić za bajkę: przed kilku laty podczas obfitego urodzaju w gub. kijowskiej zwoływano robotników wysoko płatnych... orkiestrą w polu! Drożyzna zatem najemnika przy artystycznem graniu spekulantów na zniżkę podczas obfitego urodzaju — to chyba są czynniki, które znacznie podnoszą koszt produkcyi a więc i straty ziemianina. Gdyby szanowny oponent wczytał się uważnie w mój artykuł, zaniechałby powyższych zarzutów. Co do oszczędności, przynoszonej przez maszynę, o tem najmniejszej wątpliwości być nie może. Oczywiście jako obraz normalny bierzemy gospodarkę w krajach o wysokiej kulturze i technice. U nas, rzecz prosta, przy pierwotnych urządzeniach i wielkich brakach bywają takie wypadki, że maszyny i wszelkie narzędzia udoskonalone nawet straty przynoszą. Za resztę danych mogę tylko p. Ed. Kam. podziękować, gdyż są one poniekąd uzupełnieniem żywotnej sprawy, przeze mnie poruszonej.

Zen. Piet.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. W guberniach zachodnich powstaje 81 nowych posad weterynarzy powiatowych.

— Kilku mieszkańców przedmieść Waszawy: Woli i Czystego, poruszyło sprawę utrzymania herbaciarni przez jesień i zimę dla użytku ubogiej ludności robotniczej. Łączy się z tem również projekt przytułku noclegowego na Woli.

— W Petersburgu powstaje komitet centralny, któremu powierzone będzie czuwanie nad całością zabytków archeologicznych w całem państwie.

— Od czasu wydania ustawy przeciw lichwiarzom, w warszawskich sądach pokoju zmniejszyła się znacznie liczba procesów przeciw dłużnikom. Lichwiarz woli czekać cierpliwie na spłatę długu w ratach, aniżeli wystąpieniem sądowem narażać się na proces.

— W r. b. zaciąg wojskowy z całego państwa wyniesie 270,000 rekrutów. Nadto z kraju zakaukazkiego, obwodu terskiego i kubańskiego — 2,400.

Szkoły. W Nowej Aleksandryi dla zamykania roku szkolnego w Instytucie agronomiczno-leśnym, jako stały termin, oznaczono 18 czerwca.

— Z polecenia władzy edukacyjnej opłata szkolna w warszawskiej trzyklasowej szkole miejskiej, z początkiem roku szkolnego, podwyższono z 16 do 20 rs. rocznie.

— P. o. docenta na katedrze matematyki czystej uniwersytetu warszawskiego mianowany został p. Jerzy Woronoj, dotychczasowy profesor matematyki, w progimnazyum peterhofskiem.

— W Wejmarze powstaje szkoła fotografów. Oprócz wykładów fachowych, uczniowie pobierać będą lekcye języków: niemieckiego, francuskiego i angielskiego.

— Lekcye w rządowej szkole rysunkowej przy placu teatralnym w Warszawie zaczną się 3 września.

— Ministeryum skarbu postanawia wprowadzić do wyższych szkół handlowych trzyletni kurs techniki asekuracyjnej.

Koleje i komunikacye. Na mocy świeżo zawartej umowy pomiędzy kolejami warszawsko-wiedeńską a galicyjskiemi i czeskiemi, wprowadzone zostaną z dniem 1 września r. b. zmiany w przepisach o bezpośredniej komunikacyi osobowej pomiędzy stacyami owych dróg przez Granicę. Zmiany polegają na tem, że bilety ważne będą na osiem dni w jedną stronę, a nawet do Karlsbadu, Francensbadu, Maryenbadu i Toeplitz w ciągu 10 dni, czyli, że bez osobnych formalności, zatrzymywać się będzie można na stacyach Granica, Trzebinia, Kraków, Przyrów (Prerau), Ołomuniec i Praga Czeska. Na innych stacyach bilet nie traci wartości, z warunkiem zawiadomienia właściwego zawiadowcy o zatrzymaniu. Nie uwzględniono tylko bezpośredniej komunikacyi dla dzieci, z powodu innych zasad w Królestwie i za granicą. Po zniżonej więc cenie można nabywać bilety tylko do granicy w obu kierunkach, dalej zaś ponownie należy kupować.

— Ministeryum komunikacyj postanowiło zabronić z początkiem r. p. przewozu kolejami podczas wiosny i jesieni robotników w pociągach towarowych i zobowiązać wszystkie drogi do umieszczania tej kategoryi pasażerów wyłącznie w wagonach klasy III-ej lub IV-ej.

Zdrowie publiczne. Do Kielc, z powodu cholery w pobliskich Chęcinach, wzbroniono przyjeżdżać żydom na targi.

— W uniwersytecie kijowskim wywieszono odezwę, powołującą studentów medycyny z wyższych kursów do walki z cholerą w gub. podolskiej.

— Dostarczanie na targi warszawskie bedlek, tudzież wszelkich grzybów podejrzanych, zostało wzbronione.

— We środę odbyło się w Warszawie posiedzenie lekarzy naczelnych, biorących udział w walce z cholerą. Z danych epidemii tegorocznej okazało się, iż chorych, przybywających do szpitali bez pulsu, ratować bardzo trudno i procent śmiertelności śród nich jest największy pierwszego dnia. Prawie wszyscy, przybywający z pulsem, wychodzą zdrowi. Stosowanie rozmaitych leków w domu, szczególnie śród biednych, w większości wypadków daje złe rezultaty, gdyż lekarstwa zwracane są wraz z wymiotami; ratunek zaś energiczniejszy częstokroć wznieca opór ciemnych.

— W Turkiestanie, jak donosi dziennik *Okraina*, grasuje od pewnego czasu dziwna, nieznana dotąd choroba. W miejscowości Czinacz, w pow. taszkenckim, z nastaniem upałów ludzie zaczęli zapadać na silny ból głowy, zarazem wywiązuje się gorączka i choroba w krótkim czasie kończy się śmiercią. Ludność Czinacza rozpierzchła się w popłochu po polach i lasach okolicznych, ale choroba i tam ich dosięga i zabiera mnóstwo ofiar.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu St. P. „Realiście.“ Dokładnych danych ani programów wyższych szkół technicznych za granicą, nie posiadamy, ale radzimy Panu zwrócić się do stowarzyszenia wychowańców szkół wyższych w Milhuzie (*Societé polonaise école de chimie Mulhouse Alzace*), albo do związku belgijskiego w Brukselli: *L'Oeuvre des écoles professionelles*, zkąd pan otrzyma najszczegółowsze wiadomości. Trudno również Sz. Panu wskazać gałąź wiedzy specyalnej, która ma u nas największe zastosowanie. Przemysł fabryczny z każdym dniem co raz bardziej wzrasta, a zarazem wytwarzają się nowe odłamy pracy technicznej. Dziś wogóle fachowcy, obeznani z chemią, mechaniką i pokrewnymi przedmiotami, są wielce poszukiwani przez zakłady przemysłowe.

— Za pośrednictwem *Prawdy* ubogi ojciec studenta uniwersytetu kołacze do miłosierdzia publicznego o 25 rs. na wpis dla syna.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 12 Августа 1894 г.

Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.